Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 5 (1793) • 31 stycznia–6 lutego 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

NOC Z DUCHAMI W REZYDENCJI URBANÓW

str. 2

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 950b77d5d4

Osoby Czytelnickie i Urbanofilne!

Do wylicytowania na WOŚP jest

Noc z duchami w rezydencji Urbanów

Przywieziemy, odwieziemy, pogadamy, pokażemy, przenocujemy, nakarmimy, napoimy i nawet damy zajarać Urbanowe cygaro. Będzie czad. Licytujcie do 10 lutego na Allegro, tytuł aukcji jw.

Redakcja

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Z URNY BLAGIERA URBANA

Styczeń 2013 r.

Świętego Sebastiana

Nagle wszyscy onanizują się aferą: krewne showbiznesmenów wysłały modelki za granicę do zabawiania bogaczy. Zgorszenie pod sufit i sprawa u prokuratora, jakby praca agencji towarzyskiej stawała się przestępstwem w chwili, kiedy dotyczy lepszego towarzystwa. Bo przecież każda agencja mówi policji, że wysyła dziewczyny do towarzystwa, a co one robią z klientami, to ich prywatna sprawa.

W aferze, która wybuchła, nie było przymusu, gwałcenia, pozbawiania wolności – same przyjemności. Zachodni playboye nawet szczególnie nie podbijali cen, jakie w Polsce się płaci za pociągające towarzystwo. Gdyby mnie zachciało się pogadać w cztery oczy np. z Tomaszem Lisem albo Kubą Wojewódzkim, musiałbym zapłacić za spotkanie bez seksu 10 razy tyle, ile brały modelki, i jeszcze celebrytom odszkodować szkody moralne i polityczne wynikłe z kontaktu ze stalinowcem. A do tego żądaliby, abym publicznie potępił stan wojenny.

Świętej Agnes

Kult sędziego Tulei spadł jak z nieba sądownictwu o malejącym prestiżu. Ma też doniosłe znaczenie wychowawcze wobec sędziów. Moim zdaniem ofiarą tych pożytków stanie się chirurg dr Mirosław G. Miałby on w instancji apelacyjnej znaczne szanse na uniewinnienie, gdyż sąd powinien uznać, że branie czasem (często odmawiał) pieniężnych niewymuszonych prezentów po zabiegu nie jest przyjmowaniem łapówek. Teraz apelacja nie śmie zdyskredytować słynnego wyroku idola sprawiedliwości świętego Tulei. I tak dr G. – ofiara ziobryzmu – stanie się ofiarą antyziobryzmu. Dobra to ilustracja do wykładu z politologii.

Świętego Pawła

Kiedy czytam „Dialogi dam w drodze do kościoła", przypomina mi się dowcip z brodą dłuższą, niż ma Pan Bóg.

Matka telegrafuje do córek: „Bawcie się jak damy". Odpowiedź: „Jak damy, to się bawimy". Więc o dawaniu.

Kiedy w latach 80. służyłem jako rzecznik rządu, moi rodzice byli już bardzo leciwi. Codzienną opiekę spełniałem, telefonicznie pytając o zdrowie i czego im trzeba. Telefon jednak to działał, to nie działał, co irytowało. Ponieważ wzywanie technika nie dawało skutków, zwróciłem się o protekcję do kolegi – ministra łączności. Ten oczywiście telefonów nie naprawiał, ale spowodował przysłanie technika. Łączność została przywrócona, lecz zaraz potem telefon znów był głuchy. Ojciec, odprowadzając technika, widział, że on na klatce schodowej coś jeszcze majdruje w skrzynce rozdzielczej telefonów. Zajrzał do niej, a będąc z wykształcenia inżynierem elektrykiem, spostrzegł, że kabelek od jego mieszkania jest wyrwany. I wtedy wszystko zrozumiał. Zawsze dawał technikowi obfite napiwki, żeby on dbał o działanie telefonu. Technik więc psuł połączenia, mając apetyt na napiwki. I cóż tu minister mógł pomóc?

Świętego Vincenta

Poświęcając wiele uwagi temu, że Aleksander Kwaśniewski doradza za pieniądze Kulczykowi i władcy Kazachstanu, „Gazeta Wyborcza" znacząco obniżyła moc byłego prezydenta na krajowym rynku politycznym. Miał scalać centrolewicę, ale teraz stał się, niestety, mniej twarzowy. Co za tym pójdzie, spadnie jego wartość i cena na międzynarodowym rynku doradców. Blair i Schröder wezmą więcej. Mam dla Kwaśniewskiego dobrą radę – zapłacić słono Watykanowi i w zamian zostać także jego doradcą. To wybiela wszystko.

Świętego Bernarda

Nasz ogród odwiedził lis. Strażnicy z ochrony widzieli go żywcem i pokazali na nagraniu z monitoringu. Był mały, chudy i wystraszony. Nasze psy i koty zareagowały na wizytę inaczej, niż na angielskich filmach wygląda pogoń za lisem. Podniosły wrzask i uciekły do domu, by pieklić się zza zamkniętych drzwi. Lis uciekł. Odnotowuję wydarzenie, bo dzięki niemu zrozumiałem, na czym polega udane małżeństwo: na równowadze strachu.

Świętego Franciszka

Ze wszystkich okien widzę śnieg. Otwieram TV – też śnieg. Nagrałem śnieg z telewizora, żeby sobie pooglądać latem. Telewizje zajmowały się też namiętnie fotoradarami i znakami drogowymi. Chodzi o to, że mylące. Wszystkie znaki oraz znaki na niebie i ziemi są mylące. Człowiek, który prowadzi samochód i myśli o tym, co robi, jest bezmyślnym idiotą. Człowiek nie jest kierowcą, tak jak nie jest poruszaczem nóg. Homo sapiens, kierując autem, myśli o jednostce Higgsa, a wodzi samochodem, kierując się podświadomymi odruchami będącymi wynikiem tresury. ❑

WOJNA DOMOWA

Antypis żył dwiema wpadkami kandydata Nawrockiego. Nie dość, że za darmo mieszkał w apartamencie Muzeum II Wojny – to jeszcze księdzu, który na spotkaniu wyborczym radził mu, żeby prawy prosty, albo lewy wymierzył prof. Dudkowi odpowiedział: Bóg zapłać, zamiast pognać katabasa na kopach. W normalnej demokracji obie te sprawy mogłyby kandydata zranić – choć raczej nie śmiertelnie – ale przecież to nie jest taka demokracja. Romanowski pomógł wyprowadzić z Funduszu Sprawiedliwości sto baniek i jest ofiarą bondaryzmu – czy ktoś naprawdę sądzi, że wyborców PiS zniechęci fakt, że koleś przebujał się za darmoszkę na służbowym kwadracie? A poza tym – jaką tam darmoszkę, skoro *zrobił 9 treningów, podjął 200 decyzji i przeczytał 2000 stron w siedmiu książkach*? A tak swoją drogą – jak strasznie doktor Nawrocki musi się męczyć przy czytaniu, skoro odlicza strony niczym więzień dni odsiadki?

Rafał Trzaskowski też postanowił pokazać się jako twardziel i zapowiedział odebranie 800 plus dzieciom niepracujących Ukraińców, bo w badaniach wychodzi, że jest za tym 88 proc. Polaków, niezależnie od politycznego wyznania. Twardzielstwo to pomija fakt, iż większość ukraińskich dzieci w Polsce jest tu tylko z matkami – bo tatusiów Zełenski nie wypuścił – i te matki muszą się nimi zajmować. Albo że nagłe odebranie setkom tysięcy rodzin jakiegokolwiek finansowania wepchnie je w nędzę. Albo że Ukrainki często sprzątają lub opiekują się dziećmi i seniorami na czarno, i nie jest to ich wina, tylko tych, którzy je zatrudniają. Ale kto by się tam pierdolił w takie subtelności, skoro osiem i osiem dziesiątych Polaka na dziesięciu jest za?

Na konferencji „My jesteśmy pamięcią. Nauczanie historii to nauka rozmowy" Barbara Nowacka orzekła, iż na terenie okupowanym przez Niemcy polscy naziści zbudowali obozy. MEN wyjaśnił, że ministrzyca wyraźnie się przejęzyczyła – co raczej nie podlega wątpliwości – ale prawacy wyszli na żer. Najlepszy tekst do wygłoszenia dostał kandydat Nawrocki: *Ja mam wątpliwości, czy to było przejęzyczenie, bo znam ten przemysł kłamstwa*. I jeszcze dodał przebiegle, że – aby udowodnić, że było to przejęzyczenie – Nowacka, Tusk i Trzaskowski powinni jasno potępić Barbarę Engelking, Jana Grabowskiego i wszystkich innych historyków, którzy ośmielili się odnotować, że zdarzało się, że Polacy zabijali Żydów. Na drugim biegunie były obchody 80. rocznicy wyzwolenia Auschwitz, gdzie wszyscy mówili o grozie antysemityzmu i nikt nie odnotował, że Żydzi ostatnio zabili 47 tys. Palestyńczyków. Nikogo zapewne nie zdziwi fakt, iż temat udziału Armii Czerwonej w wyzwoleniu Auschwitz został solidarnie przemilczany przez wszystkich prelegentów.

Oczarowała nas błyskotliwość dwóch członków obecnej ekipy rządzącej. Minister Jaworski od aktywów w sprawie katastrofalnej sytuacji Azotów: *To, co robi Rosja, to jest element wojny hybrydowej, bo 80 proc. ceny nawozów to jest cena gazu; ponieważ nie może Rosja eksportować gazu, to eksportuje ten gaz, ukrywając go w nawozach*. Ktoś musi nam kiedyś wytłumaczyć, co nie jest ruską wojną hybrydową; lista będzie najpewniej krótka. Wiceminister Tomczyk od obrony o tym, czy Trzaskowski powinien szczuć na ukraińskie dzieci: *Myślę, że to jest w ogóle klucz tej kampanii, który proponuje prezydent Trzaskowski: że jak pan zaprasza tutaj polityków do studia, to trochę czasami z góry można powiedzieć, co dany polityk powie*. Red. Piasecki brutalnie: *Słusznie pan definiuje moje problemy. Zastanawiam się w której minucie pan powie coś nieoczywistego w czasie tej rozmowy*. Nie wiemy, jak Piasecki, ale myśmy się nie doczekali.

Były oberpolicmajster Szymczyk został oskarżony o nielegalne posiadanie broni i wypierdolenie z niej w sufit Komendy Głównej. Prokuratora oskarża Szymczyka, że przemycił granatnik jako głośnik i bawił się nim nieodpowiedzialnie, odbezpieczając pięć zabezpieczeń. Sojusznicy ekskomendanta tłumaczą, że był zapewniany przez swojego odpowiednika ze strony ukraińskiej, że to jest broń zużyta, ale prokuratura ma opinię Wojskowego Instytutu Technicznego Uzbrojenia: granatnik był sprawny i ustawiony na tryb burzący odłamkowy. To, że PiS powierzył polską policję facetowi o mentalności pięciolatka, który jak widzi czerwony guzik, to musi go nacisnąć – to jedno. Ale jaka myśl towarzyszyła szefom służb ukraińskich, którzy dzieciakowi tę zabawkę sprezentowali – to drugie pytanie.

AWŁ

PRASA ŚNIADANIOWA

- Jak podaje „The Independent", **Donald Trump** zamierza szybko zakończyć wojnę w Ukrainie. Konkretnie w grudniu po południu.
- Pod Toruniem ma stanąć **pomnik Matki Boskiej** o wysokości 55 metrów. Ciekawe jak winda pokona rejon „zawsze dziewica"?
- **Jacek Kurski** powiedział, że TVP teraz proponuje swoim widzom ochłapy zamiast hitów. Ma rację, brakuje dobrej telenoweli o rozwodach.
- **Tadeusz Rydzyk** wezwał Polaków, aby byli gotowi na działanie. Śmigły Rydzyk zaczyna się z niego robić.
- **Janusz Palikot** po wyjściu z aresztu powiedział, że zwolnił celę dla Ziobry. Czy to pomieszczenie nie powinno się nazywać cwela?

MARTA M.

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Szanowna redakcjo!

Myślałam, że to był żart w „Rozmowach dam" w ostatnim „NIE", ale naprawdę Joanna Senyszyn będzie kandydowała na prezydenta? Konkurując z Magdą Biejat (na którą będą głosowała) i Adrianem Zandbergiem? Chyba was porąbało, a pani Łaniewska pisała artykuł „Biejat mon amour" (co się zmieniło?). Lewica się wygłupiła, a jeszcze Szumlewicz, a teraz Stanowski (ale to inna bajka).

ZNIESMACZONA CZYTELNICZKA

Kochana Pani Profesor!

Brawo i tak trzymać! Nareszcie jakaś baba z jajami, bo od tych bladych chujów to już mi się rzygać chce, żeby zacytować „Nikosia Dyzmę". Biejat w sondażach ma po 2 proc., Zandberg – 1, cała ta lewica jest palcem robiona. Biejat nie postawi się Tuskowi, nie po to przeszła z Razem do Nowej Lewicy, żeby teraz przeszkadzać kolesiom w piastowaniu posad, a Zandberg zaraz znowu się obrazi na cały świat i pójdzie płakać w kąciku, jak za każdym razem, kiedy stawało się koło niego za głośno. Potrzeba nam kandydatki, która się nie lęka. Będę na Panią głosować!

STEFAN

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl 950b77d5d4

Rys. MARCIN CHUDZIK

Byliśmy na konferencji „Blaski i Cienie Polski Ludowej”

Bluźniercy na Osiedlu Tysiąclecia

Impreza budzi w nas, co to dużo mówić, niejakie zażenowanie. Żenuje nas otóż fakt, że tzw. lewica, po raz trzeci obecna w rządzie III RP, wobec ataków na Polskę Ludową pieczołowicie milczy – a ojczyzny naszego pokolenia bronią starzy towarzysze ze stowarzyszenia Pokolenia do spółki z endekami. Fakt, że środowisko „Myśli Polskiej” (gazety – jak by to ująć – wyraziście prawicowej) ma w sobie więcej intelektualnej odwagi i historycznej uczciwości w ocenie PRL niż formacja, która głosom ludzi Polski Ludowej zawdzięczała swoją polityczną karierę – jest, właśnie, żenujący.

Konferencja odbyła się w sobotę – ni mniej, ni więcej, tylko na Osiedlu Tysiąclecia, w siedzibie kultowej Spółdzielni Mieszkaniowej „Piast” w Katowicach. Zgłosiło się 100 osób, krzeseł na sali było 200 – i nie wystarczyło, za co organizatorzy przepraszali z niejaką kokieterią.

Fakt, że tak dużo ludzi chce mówić dobrze o Polsce Ludowej – a jeszcze więcej jest gotowych poświęcić sobotę na to, żeby tego słuchać – podnosi na duchu jako zwiastun klęski ipeenowskiej propagandy i jej aktualnego geschäftsführera, który postanowił zostać prezydentem RP.

Nie żeby drugi z głównych pretendentów był w naszym guście – ale facet, który całą karierę zawodową zbudował na kłamaniu o Polsce, nie powinien zostawać prezydentem Polski. To tak na marginesie.

Wracając wszakże do konferencji: nie będziemy ukrywać, że spodziewaliśmy się zlotu staruszków, którzy zmagając się z nieposłusznymi stawami i mózgami tkwiącymi w odległych i dla nich szczęśliwych czasach, zarzucą zgromadzonych rzewnymi i całkowicie pozbawionymi jakiegokolwiek znaczenia wspominkami, przeplatanymi smarkaniem do chusteczek, szukaniem właściwych słów oraz zmaganiem się ze współczesną techniką w postaci mikrofonu. Tego typu imprezy zawsze wprawiały nas w stan pewnego skrępowania, połączonego z tkliwym żalem wobec ludzi, którzy tak bardzo chcą być jeszcze zauważeni, że nie baczą na swoje fizyczne ograniczenia ocierające się o śmieszność. Rozczarowaliśmy się.

Nie to, że średnia wieku oscylowała wokół trzydziestki. Tak dobrze to nie ma. Ale obok istotnie wiekowych, lecz sprawnych intelektualnie ludzi zaświadczających swoją obecnością, że długość życia w Polsce wydłuża się, a pokolenia PRL były zbudowane z dobrego materiału, niemało było też 40- i 50-latków, czyli kogoś, kto PRL zasadzie nie pamiętał. Uzbrojeni byli jedynie w wiedzę pokolenia swoich rodziców oraz poczucie niezgody na faszerowanie ich narracją, która ich rodzinom z tamtej epoki przede wszystkim chce odebrać godność.

Zbowidowcy wyklęci

Środowiska – mówiąc w skrócie – endeków reprezentował naczelny „Myśli Polskiej” Jan Engelgard, niedoszły poseł Ligi Polskich Rodzin, który w marcu 2022 r. stracił stracił posadę kierownika Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej za ukrainosceptyczność, która w dzisiejszej Polsce jest wszak zbrodnią najwyższej rangi. Engelgard mówił o dylematach ludzi z – jak to ujął – *innego niż lewica obozu*, którzy odnaleźli się w PRL, nawet jeśli początki były trudne. Zwrócił uwagę na oficjalne życiorysy żołnierzy podziemia, które kończą się na okresie stalinizmu. Nekrolog niejednego wyklętego zamyka się w roku 1956 hasłem *opuścił więzienie*.

40 lat życiorysu nie nadaje się do nekrologu – nie bez złośliwości zauważył red. Engelgard i dodał, że wielu uczestników powojennej konspiracji, żołnierzy AK i nawet nieszczęsnych wyklętych odnalazło się w PAX-ie czy ZBOWiD-zie. Dowiedzieliśmy się, że powstaje książka o akowcach w strukturach władzy PRL. Ma już sześć tomów.

Jeszcze bardziej musi boleć propagandzistów spod skrzydeł dr. Nawrockiego opowieść o losach wyklętych. Ich hagiograf Marek Koprowski zadał swoim bohaterom pytanie, co robili po ’56. Na siedmiu rozmówców dwóch było w PZPR, jeden w Stronnictwie Demokratycznym, dwóch w ZBOWiD-zie, a jeden został kierownikiem basenu należącego do milicyjnego klubu sportowego Polonia. Nieco gorzej powiodło się innemu wyklętemu, który jako partyjny czynownik pojechał służbową Wołgą na jakieś spotkanie do podkarpackiej wsi, którą naście lat wcześniej pacyfikował. Ludność rozpoznała w dygnitarzu bandytę i doniosła do komitetu, więc nie było rady – trzeba było go z partii wyrzucić. Ale robotę mu załatwili w Warszawie, więc sobie nie krzywdował.

ZBOWiD – mówił Engelgard – nie dorobił się rzetelnej monografii, ale ze szczątkowych danych wynika, że w niektórych regionach 30 proc. zarządów reprezentowało dawne podziemie londyńskie.

Co przyciągało ludzi przedwojennej prawicy do Polski Ludowej? Kluczową kwestią – uważa Engelgard – było „odzyskanie ziem zachodnich”. Był to termin obecny zarówno w oficjalnej narracji PRL, jak i w języku emigracji. Wizja powrotu do terenów „Polski piastowskiej”, obecna w pismach ND sprzed wojny, została zrealizowana przez PRL, a jej uosobieniem stał się Władysław Gomułka.

To dlatego – mówił publicysta „Myśli Polskiej” Adam Śmiech – nieprawdziwy jest inny mit, dotyczący czasów Polski Ludowej: że każdy Polak, który po wojnie znalazł się na Zachodzie, chciał obalać komunę. Istniało prawicowe środowisko, które do Polski Ludowej podchodziło w sposób racjonalny i dostrzegało fakt, że jest to jedyna Polska, jaka istnieje. Grupa ta – złożona z ludzi, którzy przed wojną byli młodymi działaczami ND – stworzyła miesięcznik „Horyzonty”, wydawany w Paryżu w latach 1956–1971. Środowisko to – mówił Śmiech – obserwowało to, co działo się w Polsce latach 1949–56 i wyciągnęło wnioski. Stąd zrodził się jego ostry sprzeciw wobec emigracyjnej narracji sprowadzającej się do oczekiwania na III wojnę światową.

„Horyzonty” trzeźwo odnotowywały, że ziemie zachodnie Polska uzyskała decyzją Stalina i tak samo może je utracić. Co oznacza, że miejsce Polski jest w systemie radzieckim. Peerelowskie kabarety nauczyły nas drwić z zagrożenia niemieckimi rewanżystami – zauważył trafnie Śmiech (pamiętacie skecz z „Dudka”: *Pan jesteś cham, ćwok, nieuk, swołocz, żłób i woda na młyn odwetowców z Bonn?*). Tymczasem zagrożenie to było jak najbardziej realne.

Między „Trybuną Ludu” i „Słowem Powszechnym”

Prof. Maria Szyszkowska – która rozpoczęła od deklaracji, że socjalistką stała się dopiero po 1990 r. na fali sprzeciwu wobec rzeczywistości fundowanej nam przez solidarnościowe elity – mówiła o naukowym obiektywizmie środowisk akademickich w PRL. Co zilustrowała własnym przykładem: mimo iż zaczynała w czasach dominacji filozofii marksistowskiej, mogła zdobywać kolejne stopnie naukowe, zajmując się bynajmniej niemarksistowskim Kantem, dzięki *uczciwości marksistowskich profesorów*. W Polsce Ludowej – mówiła prof. Szyszkowska – wbrew promowanej przez IPN wizji, istniała wolność światopoglądowa: teoretycznie obowiązywała dominacja myśli marksistowskiej, ale społeczeństwo było dwuświatopoglądowe. Filozofia chrześcijańska miała swoje miejsce, w siłę wzrastał KUL – w dwudziestoleciu międzywojennym nieistotna, prowincjonalna uczelnia – a w 1954 r., czyli w czasach stalinowskich, powstała państwowa Akademia Teologii Katolickiej (dziś UKSW).

Zakres wolności światopoglądowej pozwalał na funkcjonowanie ugrupowań świeckich chrześcijan, PAX-u, była „Więź”, był tygodnik „Za i Przeciw”, Julian Kotarbiński był prezesem PAN. Wolność filozoficznej debaty przejawiała się też w tym, iż *w sobotnio-niedzielnym wydaniu „Słowa Powszechnego” filozofowie chrześcijańscy krytykowali marksistowskich, a w weekendowej „Trybunie Ludu” filozofowie marksistowscy odpowiadali chrześcijańskim.*

Maria Szyszkowska jest tą badaczką Kanta, która zwraca szczególną uwagę na jego prace o pokoju – kompletnie przemilczane w powszechnym odbiorze filozofa, który ludziom przeciętnie wykształconym kojarzy się z *niebem gwiaździstym* i *prawem moralnym*. W Katowicach przypomniała, że Polska Ludowa wychowywała młodzież – ale także dorosłych – w duchu pokoju. Przytoczyła myśl prof. Juliana Aleksandrowicza, lekarza i filozofa medycyny, iż *pokój jest tym dla społeczeństwa, czym zdrowie dla pojedynczego człowieka.*

Te idee zostały zapomniane; dziś mamy się zbroić i nienawidzić naszych sąsiadów – mówiła.

Gorzko zabrzmiała wypowiedź prof. Szyszkowskiej, że obecnie *obiektywizm naukowy nie istnieje* i że nie wyobraża sobie, by ktoś dzisiaj odwoływał się do tak wielkich uczonych jak Julian Aleksandrowicz i Bogdan Suchodolski, których niewybaczalną wadą jest to, że tworzyli w czasach PRL. Zawróciła też uwagę, że trudno oczekiwać lepszej przyszłości od polskiej nauki i polskiej inteligencji, skoro z programów wszelkich kierunków studiów wyrugowano filozofię. Szczególnym przykładem tego barbarzyństwa, które odbije się prędzej czy później na naszej rzeczywistości jest fakt, że na wydziale prawa UW nie naucza się filozofii prawa.

Historię piszą zwycięzcy

Wicenaczelny „Przeglądu” Robert Walenciak zaczął od dość banalnego pytania: *Czy PRL była rosyjską okupacją? Tego chcieli komuniści z KPP* – odpowiedział sam sobie – których ambicją było *budować światowy komunizm, naśladować ZSRR* – ale to się skończyło w październiku.

Gomułka stał się twarzą tej wielkiej społecznej rewolucji, której częścią były miliony obywateli, liczących na nową Polskę, ze świadomością, że za sanacji nie mieli żadnych szans na awans społeczny. PRL sprawił, że ludzie mieli pracę, mogli kształcić dzieci, mieli zagwarantowaną opiekę zdrowotną i emerytury. Była też grupa Polaków, którzy nie czuli się beneficjentami PRL, ale widzieli historyczną konieczność płynącą z układu jałtańskiego – w ich gronie Walenciak wrednie wymienił kardynała Wyszyńskiego, który mówił, iż *w takiej Polsce przyszło nam żyć i taką musimy chronić.*

Walenciak mówił o rzeczy dość oczywistej – ale w propagandzie IPN pieczołowicie przemilczanej. O tym mianowicie, że PRL ewoluowała i każdy następny etap był odmienny od poprzedniego – co opisał kolejnymi datami.

28 czerwca 1945 – Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej: Osóbka-Morawski, Mikołajczyk, Gomułka, stojący na stanowisku, że o losie Polski zdecydowano w Jałcie, a my musimy się dostosować. 30 czerwca 1946 – referendum, które przyniosło informację: demokracji tu nie będzie. Polaków – mówił Walenciak – to nie zdziwiło; Polska przedwojenna też nie była demokratyczna. Wrzesień 1947 – konferencja w Szklarskiej Porębie, narzucenie stalinizmu. Październik 1956 – polska droga do socjalizmu. Grudzień 1970 – traktat polsko-niemiecki, uwolnienie Polski z autozależności od ZSRR; wcześniej przez ćwierć wieku Wrocław i Zielona Góra zależały tak naprawdę od życzeń sąsiada. Grudzień 1970 to także wydarzenia na Wybrzeżu i dojście do władzy Gierka, z jego polską drogą do M4 i malucha; PZPR staje się partią ogólnonarodową, a w jej przekazie pojawia się koncept *jedności ideowo-moralnej narodu polskiego*. Potem mamy sierpień ’80, karnawał Solidarności i grudzień ’81, od kiedy – jak ujął to Walenciak – *legitymacja rządzących nie opiera się już na maluchu, tylko na tym, że obronili Polskę przed rosyjskimi czołgami.*

Kiedy pytamy, co pozostało po PRL – mówił Walenciak – widać, że *obszary materialne i niematerialne nie stykają się.* Co innego widzimy za oknem – chociażby na kultowym katowickim Osiedlu Tysiąclecia, gdzie odbywała się konferencja – a co innego słyszymy np. od IPN, który powiedziałby, że to peerelowska rudera, specjalnie źle zaprojektowana, że Polska Ludowa sterroryzowana była przez komunistów, a bezpieka rozwalała naród. Dlaczego to jest obowiązująca opowieść? Bo *historię piszą zwycięzcy*.

•••

Czy katowicka konferencja może coś w tym zmienić? Pewnie nie. Nikt jej nie zauważy w mediach głównego nurtu, nikt z polskiej klasy politycznej się do niej nie odniesie, bo to wymagałoby uznania, że wciąż są ludzie, dla których ten okres jest ważny i chcą oceniać go obiektywnie. Nikt też z dworskich uczonych nie skomentuje jej w żaden sposób z powodów wymienionych powyżej. A jednak to nie jest tak, że uważamy konferencję „Blaski i cienie PRL” za imprezę miłą, ale zbędną przez swoją bezpotrzebę.

Po pierwsze, choć trochę można było policzyć ludzi, którzy chcą o tym okresie rozmawiać. Po drugie, spotkali się tam ci, których poglądy są biegunowo odległe, ale jednak połączeni chęcią spokojnej dyskusji o przeszłości, zakłamywanej przez popisowskie orki.

To pierwszy krok ku temu, by spotkać się kolejny raz przy okazji tematu, który wywoła być może więcej dyskusji wobec większej polaryzacji stanowisk. Jednak zostało udowodnione, że można rozmawiać z chęcią, by tworzyć w dyskusji coś nowego. To, jak na dzisiejsze czasy i tak dużo.

Po trzecie – wreszcie konferencja ta oddała przynajmniej niektórym choć trochę godności, którą od 30 lat bez dania racji odbiera jej III RP, krzycząc jednocześnie, że robi to w imię przywracania godności polskiego narodu. Kłamią i się nie rumienią.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
MACIEJ WIŚNIOWSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Szczury uciekają z okrętu ORP Duda… Szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Jacek Siewiera uznał najwidoczniej, że jego misja u boku pisowskiego prezydenta dobiegła kresu, i postanowił ewakuować się na bezpieczny ląd. Gdzie już czeka na niego wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz, który zamierza powierzyć Siewierze nową misję – utworzenia think tanku zajmującego się polityką bałtycką.

I to jest zrozumiałe, to jest oczywiste, to jest rozumne. Siewiera powinien myśleć o sobie, a nie razem z prezydentem Andrzejem Dudą na dnie jego kariery lec.

Bezdennie głupie jest natomiast to, że posunięcie Siewiery i on, i prezydenccy urzędnicy próbują tłumaczyć jakoś tak szlachetniej, wznioślej, bardziej honorowo. Siewiera nie przechodzi do drużyny Kamysza (żeby pozostać w polityce, a nie zatonąć wraz ze schyłkiem Dudy), lecz jedzie na odłożone stypendium w Oksfordzie. Lepiej brzmi, prawda?

Nieprawda.

eprasa.pl 950b77d5d4

Prawy i sprawiedliwy

Ryzykowna i obrzydliwa strategia wyborcza Trzaskowskiego.

W czasach mojej młodości, czyli w latach 90., z uporem godnym lepszej sprawy nuciłam słowa kawałka „Ja to ja" śląskich hip-hopowców z Paktofoniki: *Jeśli kopiuję, to tylko w punktach ksero, gdy ktoś powiela kogoś, uważam go za zero*. Chyba kandydat Tuska na strażnika żyrandola w pałacu prezydenckim, Rafał Trzaskowski, słuchał trzy dekady temu innych piosenek, bo postanowił naśladować Nawrockiego z Mentzenem, ścigając się z nimi w melodiach na konserwatywną nutę.

To nie tylko obrzydliwe (jak by powiedział klasyk, to kwestia smaku), ale i skrajnie ryzykowne, wręcz nieodpowiedzialne. Wizerunek wydelikaconego francuskiego pieska, dobrotliwego liberała może być pewnym obciążeniem dla Trzaskowskiego, ale jego gwałtowna – i dość nieporadna – próba zgrywania twardziela jest wątpliwa. Można nawet zasadnie uznać, iż jest równie wiarygodna co słynna informacja z Radia Erewań. Donosiło ono, że na Placu Czerwonym w Moskwie rozdają samochody. Okazało się, że nie w Moskwie, lecz w Leningradzie, nie na Placu Czerwonym, lecz na Newskim Prospekcie, nie samochody, lecz rowery i nie rozdają, lecz kradną.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jako że Polacy są zmęczeni pomaganiem Ukraińcom – którzy skądinąd więcej do budżetu państwa (np. ZUS i podatki) wpłacają, niż z niego biorą – Trzaskowski zaczął konsekwentnie, choć niby od niechcenia, grać kartą antyukraińską. Czyni to na dwa sposoby. Po pierwsze, podkreślał, że jeśli Kijów nie zmieni gruntownie swojej polityki rolnej, nie powinien wejść do Unii Europejskiej. Niejednego obserwatora to zdziwiło, bo jednocześnie krytykował kandydata PiS za wypowiedź: *do czasu rozwiązania naszych spraw, w tym ekshumacji ofiar ludobójstwa wołyńskiego, nie widzę przyszłości Ukrainy w Unii Europejskiej i w NATO*.

Po drugie, stwierdził, że świadczenia 800 plus powinni zostać pozbawieni niepracujący w Polsce Ukraińcy. Wiadomo od czasu prezydenta Reagana, że nic tak nie wkurwia populistycznych wyborców jak płacenie na cudze bachory. Jego słowa podchwycił premier Tusk, pisząc w serwisie X: *Propozycja zostanie pilnie rozpatrzona przez rząd*. A tymczasem PiS już złożył w sejmie projekt wprowadzający zmiany w tym programie. Giną w powodzi wrogości wobec ludzi ze Wschodu głosy rozsądku, jak eksperta od migracji prof. Pawła Kaczmarczyka trzeźwo mówiącego w „Polityce": *Po raz kolejny wskazujemy migrantów jako osoby, które mogą nadużywać naszych systemów opiekuńczych, podczas gdy dane tego nie pokazują*.

Niedawna wizyta na Warmii i Mazurach stała się okazją do odgrywania roli twardego jak młot, choć zakręconego jak sierp. Trzaskowski podkreślał, że nie można lekceważyć zagrożenia ze Wschodu, chwalił budowę umocnień na granicy i przeznaczanie 5 proc. PKB na armię, przy czym przekonywał, że taki poziom nakładów powinien być unijnym standardem. Poczuł moc, niczym narkoman po zażyciu militarystycznego mefedronu, wyjaśniając: *Jeżeli chodzi o bezpieczeństwo, to czułem to w Gołdapi, jak stałem na granicy i widziałem te umocnienia i Rosję kilkaset metrów przede mną. To wtedy poczułem siłę. Musimy w sprawach bezpieczeństwa być jak jedna pięść. Putin musi wiedzieć, że jesteśmy razem w tej sprawie*.

Trzaskowski, polityk na stanowiskach od lat, rżnie głupa, udając kogoś, kim nie był, nie jest i nigdy zapewne nie będzie. Kiedy twierdzi, że *Polska jest najważniejsza, to, co jest dobre dla Polski; nie lewica, nie prawica, tylko racjonalne podejście do polityki, w sprawach zasadniczych musimy być razem*, udaje, że istnieje jakaś pozapolityczna zgoda co do kierunku, w jakim nasze sprawy powinny iść. Konia z rzędem temu, kto jest przeciwko „racjonalnemu podejściu do polityki" i ważności kraju, którego chce być prezydentem.

To czysty bełkot.

Zatwardziały konserwatysta sir Winston Churchill mówił proroczo o układnych wobec Trzeciej Rzeszy politykach brytyjskich pod koniec lat 30. XX w.: *Mieli do wyboru wojnę lub hańbę. Wybrali hańbę, a dostaną wojnę*. Coraz więcej wskazuje, że prezydent stolicy w obecnej kampanii stanął przed analogicznym wyborem: aby uniknąć wojny z prawicowymi kandydatami wybrał hańbę, a wojnę i tak dostanie.

Być może też zaprzepaści szansę na zwycięstwo w wyborach na prezydenta RP. Naiwne jest myślenie, że w drugiej turze, ktokolwiek by był jego kontrkandydatem, uszczknie on jakiś znaczący elektorat osierocony przez przegranych w pierwszym starciu prawaków. Za to istnieje prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że

zniechęci liczne grono tych, którzy wynieśli Tuska i uśmiechniętą koalicję do władzy – kobiety, młodych, mieszkańców średnich i dużych miast. Kto chce za dużo, ten nieraz zostaje z niczym.

I będzie wtedy można mówić o Trzaskowskim słowami „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego: *Miałeś, chamie, złoty róg, miałeś, chamie, czapkę z piór: czapkę wicher niesie, róg huka po lesie, ostał ci się ino sznur*. Ale kandydat Koalicji Obywatelskiej może nie zagra na rogu, ale raczej zagra wyborcom na nosie.

Jeżeli Trzaskowski nadal będzie udawał chłopaka z sąsiedztwa, co to staje rano w kolejce po chleb, robi pompki na śniegu i zna znój pracy fizycznej, to – darmowa rada dla jego sztabowców – niech nie tylko zrobi fotkę z Zenkiem Martyniukiem, lecz zanuci z na wskroś ludowym Bayer Fullem swojską piosenkę o refrenie: *Bo wszyscy Polacy to jedna rodzina – starszy czy młodszy, chłopak czy dziewczyna…*

K.K.

Heroizm korzystania z komórki

Bohaterstwo – postawa poświęcenia dla innych, męstwa i odwagi w szczególnie trudnej sytuacji – informuje „Wielki słownik języka polskiego". Za czasów PiS tabloidy i portale internetowe pełne były donosów, że *Bohaterski policjant ocalił…*, *Dzięki bohaterstwu funkcjonariusza…*, *Heroizm dzielnicowego zapobiegł…* I nic to, że Błaszczak, a potem Kamiński dowodzili służbami, których funkcjonariusze brali kasę za ratowanie życia, a ryzyko było wpisane w zakres ich obowiązków.

Władzy było potrzebne ocieplenie wizerunku, więc wystarczyło uczulić piony prasowe służb, żeby nagłaśniały wszystko, co się da podciągnąć pod bohaterstwo. A komendantów wojewódzkich zmusić do wręczania nagłośnionym herosom w mundurach nagród i pochwał. Oczywiście w obecności mediów.

Pomysł zaskoczył. I jeśli do momentu wymyślenia tego chwytu marketingowego w mediach odnotowywano parę przypadków ocalenia życia człowiekowi przez człowieka, to od tej chwili pojawiło się ich znakomicie więcej. Festiwal bohaterstwa policjantów i strażaków trwał zatem ponad sześć lat. Bohaterów w mundurach nie brakowało.

Superbohaterowie PiS

Jak choćby w kieleckiej komendzie, do której *dodzwonił się mężczyzna z gminy Strawczyn szukający pomocy dla swojego niespełna dwuletniego synka. Mówił, że dziecko po wypiciu syropu zaczęło sinieć i przestało oddychać. Telefon odebrał pomocnik dyżurnego aspirant Grzegorz Wójcik. Funkcjonariusz pracujący w policji 23. rok, zachowując spokój, zaczął instruować ojca dziecka. Po niespełna dwóch minutach chłopczyk zaczął na nowo oddychać* – tak napisano w kieleckim „Echu Dnia", opatrując materiał tytułem „Policjant – bohater z Kielc nagrodzony. Uratował życie dziecka przez telefon". Oczywiście *bohaterskiego policjanta nagrodzili komendant wojewódzki inspektor Dariusz Augustyniak i wojewoda świętokrzyski Agata Wojtyszek*. Komendant wręczył herosowi list gratulacyjny i kopertę, wojewoda zaś okrasiła uroczystość dobrym słowem.

Ludzkie i nieludzkie wykopki

By kości nie były pałkami

ETYKA BEZBOŻNA

Godny pochówek jest ideą starą jak świat. Prawie wszystkie ludy wierzyły w jakąś formę życia po śmierci i prawie wszystkie widziały związek pomiędzy sposobem wyprawienia zmarłego na tamten świat a powodzeniem nieboszczyka w owych zaświatach. Mityczna Antygona musiała oddać życie za przysypanie ziemią zwłok swego brata znienawidzonego przez ich królewskiego wuja Kreona. Dramat Sofoklesa uświadamia nam, jak ogromną wagę ludzie przywiązywali do tego, gdzie i jak pochowani są bliscy. Mnie tam *wsio rawno*, ale jak kto wierzy w „zmartwychwstanie" i „rajski przebyt", to trzeba go zrozumieć w tym względzie. Ludziom zależy na sprowadzeniu zwłok członków ich rodzin z dalekich i niegościnnych stron oraz na „godnym pochówku". I to każdego z osobna, w osobnej trumnie. Czasami, jak w przypadku katastrofy smoleńskiej, prowadzi to do koszmarnych procedur otwierania zakopanych już trumien i grzebania w ich zawartości. I to nawet pomimo protestów rodzin. Istny nekrokoszmar.

„Ekshumacja" znaczy „wyjęcie z ziemi". Generalnie to dość drastyczna czynność, bo zwłoki, zwłaszcza jeszcze nierozłożone do białych kości, nie wyglądają ani nie pachną ładnie. Po prawdzie jedna z najcenniejszych kulturowo rzeczy materialnych jest jednocześnie jedną z najobrzydliwszych, jeśli nie najobrzydliwszą. Bardzo to dziwne i paradoksalne. A bynajmniej nie jest to jedyny paradoks związany z ekshumacjami.

Ekshumacje smoleńskie to było coś wyjątkowego i wyjątkowo perwersyjnego. A jednak wyjąwszy zlecenia prokuratorskie związane z realną, a nie urojoną potrzebą zbadania pojedynczych zwłok w celu zebrania dowodów przestępstwa, czyli (najczęściej) morderstwa, ekshumacje prawie zawsze wiążą się z konfliktami. Konfliktami politycznymi, religijnymi, a nawet ekonomicznymi. Toczą się one w setkach miejsc, angażując rządy dziesiątek państw i emocje milionów ludzi. Dotyczy to również Polski, która bardzo chciała ekshumować ofiary mordu na Żydach w Jedwabnem, a teraz bardzo chce ekshumować ofiary rzezi wołyńskiej. Z Żydami sprawa jest zupełnie wyjątkowa, bo prawie zawsze na ekshumacjach zależy ziomkom niegodnie gdzieś pochowanych ofiar zbrodni, a w tym wyjątkowym przypadku współwyznawcy ofiar kategorycznie nie życzą sobie, by naruszano spokój zmarłych. Zabrania tego bowiem religia żydowska. A Polacy tak bardzo liczyli, że może znajdą w miejscu zbrodni jakieś przedmioty należące do Niemców, a i samych ofiar wykopią mniej, niż wynoszą oszacowania ich liczby! Tak jak gdyby to cokolwiek zmieniało. Katoliccy sąsiedzi w podlaskich miasteczkach mordowali Żydów z udziałem i bez udziału Niemców, a dla pamięci i etyki pamięci

nie ma znaczenia, czy pomordowanych w tej okolicy było bliżej dwóch tysięcy czy może ponad trzy tysiące, lecz to, czy współczesna Polska stara się wyprzeć, zatuszować i zrelatywizować ten fakt, czy też może ma w sobie dość prawości i uczciwości, by się z nim zmierzyć.

Tylko od tego zależy reputacja Polski w tej materii, a nie od tego, czy w ziemi jedwabieńskiej leży 600 czy może tylko 400 kościotrupów i czy uda się tam znaleźć niemiecki guzik lub kulę, czy też nie. Kto tego nie rozumie, ten już w ogóle nic nie zrozumie.

Trochę podobna jest sytuacja na Wołyniu. Ukraińcom nie podoba się, gdy polscy archeolodzy chodzą po lasach i szukają dołów z polskimi kośćmi. Po co do tego wracać? Tyle lat minęło, niech leżą, gdzie je zakopano. Czy nie wystarczy pomnik postawić? Do starych dziejów i starych win potomkowie mają zwykle stosunek, który wyraża się w słowach „było, minęło". I może jest w tym jakaś moralna racja, lecz najczęściej to „było, minęło" oznacza coś zupełnie innego niż propozycję pojednania bez rozdrapywania starych ran. Wyraża mianowicie żal i pretensje z powodu rzekomo niesłusznego i za daleko idącego obwiniania dawnych zbrodniarzy i narodu, którego byli częścią i który wszak nadal istnieje. W naszym konkretnym przypadku chodzi o to, że wykopywanie szczątków pomordowanych ma posłużyć podtrzymywaniu bardzo zawyżonych oszacowań liczby ofiar i zatarciu kontekstu, którym są długie dzieje wzajemnego krzywdzenia się Polaków i Rusinów.

Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

Ekshumacje są ważne bardziej z powodów emocjonalnych niż naukowych. Niektórzy potomkowie zabitych chcą, aby szczątki zostały pochowane godnie – w Ukrainie bądź w Polsce. I trzeba to zrozumieć i uszanować, nawet jeśli samemu uważa się to za zupełnie nieracjonalne i zbędne. Sam mam babcię (zabitą przez Niemców) pochowaną gdzieś tam w dole w okolicach Złoczowa albo Tarnopola. Ani mi na myśl nie przyszło, że ktoś powinien szukać jej kości. Wystarczy mi portret wiszący w pokoju mojej matki. Co mi po kościach? Ale ludzie mają różne wrażliwości. Byleby tylko nie szaleć. Co innego kopać w lesie, a co innego ryć pod szosami czy budynkami. Wszystko musi być w granicach rozsądku.

Ekshumacje ofiar dokonywane są w całym świecie. Zwykle wykopuje się

eprasa.pl 950b77d5d4

Z zawodu bohater

Dzień potem po oczach bił tytuł „Policjant z Pińczowa bohaterem na Stadionie Narodowym!”. Autorzy powoływali się na informację prasową Komendy Głównej Policji. Chodziło zaś o to, że przed zakończeniem pierwszej połowy meczu policjanci zauważyli rozglądającą się dookoła małą dziewczynkę, która zgubiła się w tłumie i nie mogła odnaleźć swoich rodziców.

Nie tylko policjanci lali miód na resort spraw wewnętrznych. Wizerunek MSWiA ocieplała też inna, z podległych ministrowi, służba – straż pożarna. Wirtualna Polska doniosła: „Bohaterska postawa strażaków, Max uratowany z płonącego wieżowca”. Bo na 10. piętrze wieżowca w Krakowie wybuchł pożar. Gdy strażacy weszli do mieszkania, *okazało się, że jedynym poszkodowanym w pożarze jest pies. To był owczarek niemiecki wabiący się Max*. Dzielni funkcjonariusze odebrali zasłużone nagrody.

Tak samo jak policjant, który przerwał relację dla TVP3 Bydgoszcz, w której opowiadał o wypadku, na którego to miejscu robiono z nim wywiad. Funkcjonariusz przerwał, bo *nagle w pobliżu tego miejsca zatrzymał się samochód, z którego wybiegła kobieta, krzycząc, że jej dziecko się dusi*. Materiał poszedł pod tytułem „Bohaterski czyn funkcjonariusza”.

W ocieplaniu wizerunku rekordy bił zwłaszcza Błaszczak. Wymyślił, że co najmniej dwa razy w miesiącu pojawi się w mediach i różnych miejscach w kraju w towarzystwie bohaterów. Ich podaż miała załatwić wymyślona przez Błaszczaka akcja „Młody Bohater”. Miała ona służyć nagradzaniu i promowaniu nie ministra, ale *godnych naśladowania postaw wśród dzieci i młodzieży*.

Błaszczak ruszał zatem w Polskę i odznaczał dzieci, *które ocaliły bądź aktywnie przyczyniły się do ocalenia życia innych osób*.

Jak choćby 12-letniego Sebastiana i dziewięcioletniego Oskara, którzy widzieli w Sokółce, jak *„do 79-letniej kobiety podbiegł mężczyzna, który przewrócił ją na ziemię. Chłopcy od razu podbiegli do kobiety i zadzwonili pod numer 112. Dzięki podanym przez nich szczegółom policja szybko ujęła sprawcę kradzieży”*.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ośmioletnia Zuzia z Babimostu też otrzymała odznaczenie z rąk Błaszczaka. Za heroizm, którym wykazała się w ratowaniu omdlałej matki. *Zuzia zadzwoniła do ojca (strażaka Państwowej Straży Pożarnej), który poinstruował ją, jak pomóc nieprzytomnej. Dziewczynka z pełnym opanowaniem wykonała wszystkie jego polecenia*.

MSWiA rosła popularność. Gryźć to musiało okropnie Ziobrowe Ministerstwo Sprawiedliwości. W końcu szefostwo resortu sprawiedliwości się doczekało. Lokalne media z Ostrowa Wlkp. podały wiadomość, że „bohaterska prokurator uratowała samobójczynię!”. W niej zaś stało jak byk, że *po godzinie 19:00 pod numer alarmowy 112 zadzwoniła kobieta, informując, że zamierza się utopić. Na szczęście na spacerze była Pani Prokurator Alina Poczta. W półmroku dostrzegła kobietę stojącą w wodzie. Nie zastanawiając się, weszła odważnie do zimnej wody. Następnie chwyciła ją i nie pozwoliła, by kobieta weszła głębiej*.

Tydzień później w Prokuraturze Krajowej odbyła się uroczystość wręczenia nagrody rzeczowej dla prokurator Poczty.

Z podziwem myślę o Pani determinacji w ratowaniu drugiego człowieka i gratuluję opanowania i szybkiej reakcji w sytuacji zagrożenia – nareszcie mógł w obecności kamer TVP wyrecytować ówczesny wiceziobro Bogdan Święczkowski. Wręczając mocno zażenowanej sytuacją kobiecie naprędce kupione pióro i zegarek.

Czujność restauracyjna

Grzanie się w błysku fleszy wydumanych bohaterów nie przypadło widać do gustu Kierwińskiemu i Siemoniakowi. Co nie znaczy, że zapotrzebowanie na herosów w narodzie spadło.

I gdy w kwietniu policjanci z toruńskiej drogówki otrzymali informację o młodej kobiecie, która mogła próbować targnąć się na własne życie, to widząc, że 16-latka wpadła z mostu drogowego do Wisły, starszy aspirant Łukasz Grabowski *postanowił pomóc nastolatce. Zdjął część swojego umundurowania, zerwał koło ratunkowe znajdujące się w pobliżu i rzucił się do wody*. W Interii mógł się pojawić tytuł: „Bohaterski wyczyn policjanta. Bez wahania wskoczył do rzeki”. Tekst kończył się informacją, że *Dzielny funkcjonariusz otrzymał pochwałę*. Na tym jednak nie koniec. Parę dni po wyłowieniu dziewczęcia ze starszym aspirantem spotkał się komendant wojewódzki policji w Bydgoszczy Jakub Gorczyński wraz z zastępcami. *Ta bohaterska postawa zasługuje na najwyższe uznanie, przywraca wiarę w ludzi i powinna być wzorem do naśladowania dla każdego z nas* – powiedział Gorczyński. Kilka tygodni później lokalne media donosiły: *Postawa toruńskich bohaterów została wynagrodzona i doceniona przez prezydenta Torunia, Michała Zaleskiego, który wręczył listy gratulacyjne oraz upominki. Prezydent będzie wnioskował także o przyznanie nagrody za bohaterską postawę w roku 2024*.

Najciekawsza w tym wszystkim była odpowiedź starszego aspiranta, który stwierdził, że wskoczył do wody ratować dziewczynę, ponieważ takie zachowanie leży w jego obowiązkach zawodowych.

Nagrody nie dostał policjant z Mrągowa, choć w portalach można było przeczytać o „Bohaterskim czynie policjanta. Uratował życie trzymiesięcznemu dziecku”. Uratował zaś bohatersko, bo jedząc w knajpie, zobaczył, że obok panikuje kobieta, której dzieciak się zadławił. Policjant odwrócił malucha i okładał go po plecach. Czyli zrobił to, co trzeba było zrobić.

„Bohater uratował życie 74-letniej kobiety” – grzmiały ostrołęckie portale po tym, jak policjant wezwany do starszej pani, która nie otwierała drzwi, skorzystał z balkonu sąsiada i przez uchylone okno wszedł do mieszkania, w którym leżała ledwo dychająca staruszka. Nikt sierżantowi jednak z tego powodu nic nie wręczył.

Natchniony biskupem

Nie został też przez MSWiA nagrodzony „Bohaterski czyn skawińskiego policjanta, który w czasie wolnym od służby uratował dzieci z zakleszczonego auta”. Gliniarz jechał swoją bryczką, gdy tuż przed nim samochód z kobietą i czwórką dzieci w środku zjechał nagle z drogi i uderzył w słup. *Policjant bez chwili namysłu zatrzymał swój samochód i ruszył ratować zakleszczone w aucie dzieci, wyciągając je ostatecznie przez bagażnik* – relacjonowały media. A na stronie lokalnej policji pojawił się passus, że *swoim zachowaniem st. post. Herma udowodnił, że policjantem jest się przez całą dobę, również w czasie wolnym od służby*.

Nie brakuje też heroizmu dzieci, ale już bez udziału szefa resortu spraw wewnętrznych czy nawet kogoś z policyjnej wierchuszki. „Bohaterski 13-latek nagrodzony przez komendanta” – pisały portale w październiku, gdy komendant powiatowy policji w Sulęcinie nagrodził młodego człowieka. Za co? Otóż *uczeń szkoły podstawowej był świadkiem poważanego zdarzenia drogowego. Pomimo młodego wieku zachował zimną krew, zadzwonił na numer alarmowy i szczegółowo przekazał wszystkie niezbędne informacje. Następnie pozostał na miejscu do czasu przyjazdu służb*. Czym został nagrodzony młody człowiek za to, że skorzystał z numeru 112, nie podano, a policja też tego ujawnić nie chce.

Przy nowej władzy w podległości służby więziennej nic się nie zmieniło. Wciąż jest w resorcie sprawiedliwości. I może dlatego „Bohaterski czyn funkcjonariusza Aresztu Śledczego w Dzierżoniowie” – jak to ujęła strona internetowa SW – został doceniony i nagrodzony. A może dlatego, że w czasie aktu heroizmu obok był biskup Dec?

Wszak w marcu podczas wizyty Deca w parafii w Piławie Dolnej doszło do pożaru salki katechetycznej przy kościele parafialnym. Zapalił się stropodach salki. *Będący w pobliżu funkcjonariusz dzierżoniowskiej Służby Więziennej kpr. Paweł Michałowski nie bacząc na niebezpieczeństwo, wszedł na dach i rozpoczął gaszenie ognia przy użyciu gaśnicy*. Kiedy zaś Dec wizytował dzierżoniowski areszt, złożył klawiszowi podziękowania, a dyrektor placówki wręczył kapralowi *nagrodę pieniężną, doceniając jego bohaterską postawę*.

Jeśli ktoś ma za złe Siemoniakowi to, że nie dostrzega bohaterów, to błądzi. Tak się bowiem składa, że dla policjantów, jak i dla każdego innego obywatela ratowanie innych nie jest bohaterstwem. Ba, ratowanie życia ludzkiego to obowiązek. W kodeksie karnym jest bowiem art. 162 mówiący: *Kto człowiekowi znajdującemu się w położeniu grożącym bezpośrednim niebezpieczeństwem utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu nie udziela pomocy (…) podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech*.

TOMASZ BOROWIECKI

kości, by pochować je w specjalnych ossuariach będących częścią miejsc upamiętniających tragiczne wydarzenia. Jeśli chcemy, aby naprawdę doszło do ekshumacji kilkunastu czy kilkudziesięciu zbiorowych mogił Polaków zamordowanych przez Ukraińców w czasie niemieckiej okupacji, trzeba zbudować atmosferę zaufania pomiędzy Polską i Ukrainą. Szantaż, jakiego dopuścił się niedawno Karol Nawrocki zapowiadający, że w razie wygranych wyborów prezydenckich będzie torpedował starania Ukrainy o wejście do NATO, jeśli ta nie zgodzi się na ekshumacje, jest dokładnie tym, czego nie wolno robić. Ukraińcy chętnie sami pomogą w poszukiwaniu i odkopywaniu grobów, gdy będzie wiadomo, jakie napisy zostaną umieszczone na pomnikach i grobach, gdy dojdzie już do ponownych pochówków, a przede wszystkim gdy uwierzą, że kości zmarłych nie będą służyć jako pałki, czyli do zaostrzania tonu, w jakim władze polskie będą mówić o tamtych czasach i wydarzeniach.

To prawda, że przyszłość trzeba budować na prawdzie. Ale prawda zawsze ubrana jest w słowa. I warto wybierać takie, które sprzyjają zgodzie. Nawet jeśli nie są to słowa najbardziej wprost i adekwatnie opisujące fakty. Bywa, że tak jest mądrzej. W imię lepszej przyszłości stosunków polsko-ukraińskich, które przecież prawie zawsze były złe, zachowajmy powściągliwość i spokój. A wtedy i polskie kości spoczną w prawdziwych grobach, i demony pozostaną w swoich norach.

JAN HARTMAN

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Uwaga, uwaga! Zaginęła bieda w polskim górnictwie! Jak policzył GUS, średnie wynagrodzenie w grudniu ubiegłego roku wyniosło tu dokładnie 20 783,28 zł brutto, co oznacza wzrost o 13,2 proc. miesiąc do miesiąca. *Wzrost ten spowodowany był wypłatą premii i nagród świątecznych, jubileuszowych oraz nagród z okazji Dnia Górnika, które obok wynagrodzeń zasadniczych także zaliczane są do składników wynagrodzeń* – zaznaczył GUS. Czarne złoto stało się prawdziwym złotem.

▮ Oto historia ku przestrodze wszystkich żyjących: kierowca z dwoma dożywotnimi zakazami prowadzenia pojazdów postanowił zmierzyć się z drzewem. Drzewo wygrało. Zakazy przestały obowiązywać, w końcu po co one martwemu? Teraz może jeździć, ile dusza zapragnie, choć dusza, podobnie jak prawo jazdy, mogła ulec dematerializacji. Aspirant Kunek z policji w Starogardzie Gdańskim potwierdza ironiczny przebieg zdarzeń.

▮ 28-letni amator marihuany postanowił zapalić skręta w poczekalni komendy policji w Szczytnie. Oryginalny sposób na zapoznanie się z funkcjonariuszami, choć nieco ryzykowny. Efekt? Trzy lata odsiadki. Można powiedzieć, że zamienił szybki strzał w płuco na dłuższy pobyt za kratkami. Ciekawe, czy tam też będzie miał dostęp do takich rarytasów.

▮ Pan Dariusz Szoka do 2022 r. miał tuż przy przejściu granicznym w Kuźnicy 300-metrową działkę, na której stał budynek handlowo-usługowy. Działka, tak samo jak ziemia innych właścicieli okolicznych terenów, została przejęta przez Generalną Dyrekcję Dróg Krajowych i Autostrad w ramach specustawy na potrzeby budowy drogi krajowej numer 19 z Kuźnicy do Sokółki. Obecnie stoi na niej wiadukt. Nie zmienia to jednak faktu, że pan Dariusz, który nie jest już posiadaczem działki ani jeszcze nie jest posiadaczem wiaduktu, płaci za obie nieruchomości podatek gruntowy, ponieważ nie został wykreślony z hipoteki, gdyż decyzja o wywłaszczeniu nie jest prawomocna. Pan Dariusz zapłacił 12 tys. zł i będzie płacił dalej, bo doskonale rozumie, że budżet miejscowego urzędu gminy jest na deficycie.

▮ Rada Warszawy w 2017 r. wprowadziła Standard ATM, czyli Automatycznej Toalety Miejskiej. Niestety, mimo postępu technicznego tylko spłukiwanie wody działa automatycznie – reszta, w tym podcieranie, nadal wymaga tradycyjnego ręcznego zaangażowania. Do tej pory w mieście powstało 28 takich toalet, a obecnie trwa budowa 29., której koszt szacuje się na 800 tys. zł. Choć zrezygnowano z planów montowania pozłacanych sedesów, co mogłoby być miłym akcentem na wypadek wizyty prezydenta USA Donalda Trumpa, toalety te pozostają ciekawym przykładem miejskiej infrastruktury.

▮ Policjanci zlikwidowali nielegalną drukarnię fałszywych banknotów na warszawskim Bemowie. Nadkom. Marta Sulowska przekazała, że zaczęło się od zgłoszenia, że w jednym ze sklepów klient próbował zapłacić fałszywym banknotem o nominale 100 zł. Kasjer powiadomił policję, która na miejscu zatrzymała 33-latka. Okazało się, że miał przy sobie jeszcze inne fałszywki. W jego mieszkaniu znaleziono drukarkę, laptopa i duże ilości nieprawdziwych pieniędzy. Czterech prawdziwych fałszerzy i fałszywe banknoty zostały aresztowane. Wszystkim grozi 25 lat więzienia.

▮ Stomatolog z Koszalina leczył zęby nawet umarłym. Potrafił też wyrywać tego samego zęba kilka razy. Tak w każdym razie wynikało z dokumentacji, którą przedstawił w Narodowym Funduszu Zdrowia, za co otrzymał ponad milion złotych. Policja ustaliła, że fałszywych zabiegów było 3883. I całe szczęście. Przy takim przerobie może wykończyć już samo tworzenie lipnej dokumentacji, a jakby miał jeszcze leczyć zęby, umarłby w butach.

▮ Według informacji przekazanych przez Polską Izbę Przemysłu Jachtowego i Sportów Wodnych, produkcja jachtów to siła napędowa polskiej gospodarki. Przemysł jachtowy to 1000 firm i 50 tys. miejsc pracy. Rocznie polskie stocznie produkują 25 tys. jednostek pływających, z których eksportowanych jest 95 proc. W kategorii jachtów motorowych do 12 m długości Polska plasuje się na pierwszym miejscu w Europie, natomiast na świecie zajmuje drugą lokatę.

▮ W Nadleśnictwie Drawno myśliwy zastrzelił rysia, myśląc, że to dzik. Absurdalna pomyłka, zważywszy na liczebność obu gatunków: około 400 rysi kontra 144 tys. dzików (choć myśliwi w sezonie 2023/24 upolowali ponad 245 tys.). Sprawą zajmuje się policja w Okonku. Przyrodnicy liczą na analizę balistyczną, która pomoże zidentyfikować broń. My jesteśmy sceptyczni.

▮ Szczyrk – polskie Davos. Albo przynajmniej tak chce być. Ceny feriowych pobytów biją rekordy. Za tydzień w trzygwiazdkowym hotelu rodzina dwa plus jeden zapłaci minimum 5,3 tys. zł. A karnet na narty? Bagatela – 823 zł za pięć dni. Białe szaleństwo zamienia się w finansowe harakiri. Ale cóż, prestiż kosztuje.

▮ W Koszalinie (woj. zachodniopomorskie) pijany kierowca doprowadził do kolizji, po czym uciekł z miejsca zdarzenia. 37-latek ukrywał się przed policją w swoim miejscu zamieszkania. Ostatecznie jednak został zatrzymany dzięki pomocy policyjnego owczarka Nabata. Zwierzę podjęło trop i doprowadziło funkcjonariuszy do uciekiniera. Owczarek był czarny. Wszystko to dowodzi, że pies nie jest najlepszym przyjacielem człowieka, no i między policją a obywatelami istnieją niejakie antagonizmy.

RJ

PS Niniejsze informacje pochodzą z mediów lokalnych, za których rzetelność nie odpowiadamy. Jednakże, uznając ich potencjał rozrywkowy, postanowiliśmy je upublicznić.

eprasa.pl 950b77d5d4

Gdzie jest ta kasa, której nie mamy?

Pieniądz ujemny, pieniądz dodatni

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

Tak, wiem, że Ciebie i mnie najbardziej interesują nasze własne pieniądze – te, które mamy, a częściej i bardziej te, których nam brakuje. Zdarza się, że interesują nas pieniądze, które mają inni – szczególnie wtedy, kiedy ze ściśniętymi zębami zauważamy, że „te cwaniaki mają ich za dużo". Ale rzadko zastanawiamy się nad tym, jak nas okradają, czyli jak działa złodziejski system.

Funkcjonuje bon mot, że pieniądze lubią ciszę. To święta prawda, ale nie cała: pieniądze jak złodziej lubią przede wszystkim ciemność. To może sprytnie by było skierować w ich kierunku choć maleńki strumień światła?

Kiedy zapytałam znajomych, skąd biorą się polskie pieniądze, odpowiedzieli niemal chórem, że z NBP. Niby słusznie, bo w ustawie o Narodowym Banku Polskim stoi w art. 4, że przysługuje mu *wyłączne prawo emitowania znaków pieniężnych Rzeczypospolitej Polskiej*. A w konstytucji jest mowa o przysługującym mu *wyłącznym prawie do emisji pieniądza*. Tyle tylko, że to kłamstwo. Trudno bowiem nie uznać za pieniądze środków finansowych, których używamy elektronicznie (przelewy, karty), a te nie są emitowane przez NBP. Bank centralny emituje głównie metalową i papierową gotówkę i jest tego mniej niż ok. 10 proc. pieniędzy w obiegu. A skąd reszta? Większość pieniędzy powstaje z niczego – *ex nihilo* – jako zapis dokonany przez prywatny bank komercyjny na Twoim koncie w momencie, kiedy bierzesz kredyt. Tak! – prawie cały pieniądz na świecie jest po prostu długiem. Siedzi sobie taki koleś w prywatnym banku i kiedy podpiszesz cyrograf, czyli umowę kredytową, on wypisuje na swoim komputerku kwotę z opłatami i odsetkami, którą zobowiązałaś/eś się zwrócić i robi przelew. A państwo ze swoim systemem opresji czuwa, żeby bankowi nie stała się krzywda. W ten sposób Ty i on wyemitowaliście nową porcję pieniędzy. Wy, a nie NBP, jak nakazują konstytucja i prawo.

Ty w mainstreamowych mediach, a Twój dzieciak w szkole usłyszycie w tej sprawie kolejne kłamstwo. Dowiecie się tam, że bank pożycza pieniądze, które wcześniej zdeponowali u nich obywatele. To też gówno prawda. Banki mają obowiązek do zachowania tylko tzw. rezerwy cząstkowej, czyli mogą udzielać kredytów znacznie więcej, niż posiadają wkładu od obywateli. Często jest to 10 do 20 razy więcej niż depozytów. Jasne więc, że prawie wszystkie pieniądze na świecie to wartość długów stworzonych prywatnie (nie przez państwo) całkowicie z niczego!

Kolejna okoliczność, która jest kluczowa dla systemu finansowego świata, to fakt, że system gospodarczy charakteryzuje się nadprodukcją. Innymi słowy na kontach zwykłych ludzi jest mniej pieniędzy niż dóbr i towarów, jakie mogliby kupić (tzw. luka nabywcza). Z drugiej strony (co bardzo ciekawe!) w obiegu gospodarczym świata jest jednak znacznie więcej pieniędzy niż dóbr i towarów. Pisałam, że

pieniędzy brakuje zwykłym ludziom. Brakuje ich też na inwestycje produkcyjne i potrzeby państw, ale nie brakuje i stale przybywa władcom karteli finansowych (finansjeryzacja gospodarki).

Kim oni są, nie da się ustalić. To właściciel zbiorowy mieszkający we wszystkich bogatych i najpiękniejszych miejscach świata. Jak pokazują badania nierówności od dziesiątek lat, bogactwo części populacji wcale nie podnosi wszystkich łodzi.

A odsetki? Co dzieje się z odsetkami?! To jasne: trafiają do komercyjnych prywatnych banków i dalej, jako część bankowych zysków (dywidenda), do ich właścicieli, czyli finansowych karteli, od których z kolei coraz bardziej zadłużające się państwa stale pożyczają tę kasę na wysoki procent.

Ale to nie jest jedyny zaskakujący skutek obciążania odsetkami praktycznie wszystkich kredytów na świecie. Na co dzień nie uświadamiamy sobie bowiem, jak potężny wpływ na ostateczną cenę produktów mają odsetki od kredytów, z jakich korzystają producenci. W procesie powstawania produktu uczestniczy wszak długi łańcuch kooperantów. A niemal każdy z nich korzysta z różnego rodzaju oprocentowanych kredytów. Powiedzmy więc, że kupiłam lampę. Cena użytej w niej śrubki jest obciążona odsetkami od kredytu, z którego skorzystała kopalnia rudy żelaza i przewoźnik, który dowiózł ją do huty. Tę skumulowaną cenę zapłaci huta za rudę, a wytworzoną stal sprzeda, doliczając koszty swojego kredytu, którą odczuje w cenie stali wytwórca śrubek. Wytwórca śrubek także doliczy do ceny swojej śrubki koszt odsetek od swojego kredytu, a także koszty odsetek wszystkich innych swoich kooperantów, dostawców energii, producentów narzędzi i maszyn, itd. W cenie lampy, którą kupiłam w sklepie, oprócz śrubek jest oczywiście kilka innych elementów. Każdy wytworzony został w pionowym łańcuchu kooperantów, z których każdy producent doliczył do swej ceny koszty zapłaconych odsetek. W długich łańcuchach dostaw nawet niewielkie podniesienie ceny produktów kooperacyjnych (na przykład o niewielkie odsetki) ma ogromny wpływ na jego finalną cenę. To zjawisko opisują naukowcy z dziedziny ekonomii. Nie wiem, ile kosztów odsetkowych kryje się w kupionej przeze mnie lampie, ale byłam zaskoczona, kiedy przeczytałam, że w cenie większości produktów rynkowych, w zależności od poziomu ich komplikacji, taki koszt może zawierać się w przedziale od 40 do 60 proc. Także Ty, podobnie jak ja, nie masz teraz wątpliwości, dokąd płynie ta odsetkowa kasa. Nierówności lawinowo rosną.

Czyż świat bez odsetek od kredytów nie byłby znacznie piękniejszy i bezpieczniejszy?!

Działający w wyżej opisany sposób system finansowy tworzy pieniądz, który nazywany jest pieniądzem ujemnym. Ale są na świecie ludzie, którzy napisali już bajkę o tym, że inny świat jest możliwy i funkcjonowałby znacznie lepiej. Trzeba byłoby w tym świecie pieniądz ujemny zastąpić pieniądzem dodatnim.

Wyobraź sobie zatem niewyobrażalne, czyli że ludzkość zmądrzała. Aby Ci to ułatwić, opowiem bajkę:

Mądra ludzkość zaniechała emisji pieniądza przez komercyjne banki. Emisję pieniądza przejęło państwo. Nadal pieniądz tworzony jest z niczego (*ex nihilo*), bo nie ma innej sensownej możliwości. Ale państwo – w jego imieniu państwowy bank centralny (PBC) – nie emituje pieniędzy jako dług, ale po prostu przelewa każdemu na konto określoną w prawie kwotę jako bezzwrotną wypłatę. Możesz ją też nazwać grantem albo dywidendą – jak wolisz. Pieniądze PBC przekazuje także rządowi na cele ogólnospołeczne. Suma tych wypłat skorelowana jest z bieżącymi możliwościami zasilanego przez system podatkowy budżetu państwa. Przedsiębiorstwa mogą natomiast korzystać z pożyczki od banku centralnego lub banków komercyjnych. Pożyczkę od kredytu różni to, że nie jest obciążona odsetkami. To, jak zauważyliśmy, znacznie obniża koszty produkcji i finalne ceny. PBC reguluje ilość pieniądza na rynku na dwa sposoby: poprzez sprzedaż lub skup obligacji i ew. redukcję zaplanowanej na dany okres emisji, dbając o poziom inflacji z jednej, a wzrost gospodarczy z drugiej strony. Ta sytuacja nie tworzy kryzysów, które w systemie pieniądza ujemnego wynikają z wahań w ilości udzielanych i spłacanych kredytów. Tak działa pieniądz, który nazwano dodatnim. W przeciwieństwie do ujemnego jest stabilny i gwarantuje społeczeństwu możliwość prowadzenia przez państwo sprawiedliwej polityki społecznej oraz efektywnej polityki gospodarczej.

Czy jest możliwe, by zamienić tę bajkę w rzeczywistość? Aaa, to już całkiem inna bajka.

ANNA GRODZKA

Liberalizm więdnie

Byli kiedyś liberałowie stojący na straży praw i wolności...

SŁOWO CZERWONE

Liberałów już nie ma. Są tylko żądni władzy karierowicze gotowi podeptać wszystko, w co wierzyli i co głosili, byle tylko się dorwać do stołków.

Czy tęsknię za liberałami? Niespecjalnie, bo kojarzą mi się z Balcerowiczem, czyli ze złem wcielonym. Ale obok liberalizmu rozumianego jako ślepa wiara w rynek i jego regulacyjną, sprawczą rolę, był liberalizm stojący na straży praw i wolności. Na straży praw człowieka. Był, bo w Polsce się skończył, gdy liberalny rzekomo premier Tusk zakwestionował prawo do azylu.

Mark Lila w książce „Koniec liberalizmu, jaki znamy" zakwestionował współczesną postawę liberalną: *trzeba skończyć z retoryką liberalnego narcyza, zadowolonego z siebie burżuja, którego spokojny drobnomieszczański świat powoli się rozsypuje, zaś jako winnych tego rozpadu widzi on jedynie obrzydliwych populistów*. Lila pokazał w swej książce, że nie ma już liberalnej wizji politycznej i dlatego nominalni liberałowie przegrywają z neokonserwatywnym populizmem, który przeciwstawia im spójną wizję społeczno-polityczną.

Oczywiście, że prawicowi populiści, odwołujący się do gorszej strony natury ludzkiej, są obrzydliwi. Problem polega jednak na tym, że podczas gdy liberał odwołuje się do egoizmu jednostki i na tym poprzestaje, prawica, PiS-owcy mówią o losie zbiorowości, narodu czyli wspólnoty.

Dla Czarnka, Błaszczaka, Kaczyńskiego patriotyzm to w pierwszym rzędzie szczucie na obcych, a dopiero potem miłość ojczyzny. Będący ciągle w odwrocie liberałowie, którzy nie mają własnej wizji społeczeństwa, w panice zaczynają podążać za swymi politycznymi przeciwnikami.

Więc kiedy Rafał Trzaskowski zażądał odjęcia od ust dzieciom ukraińskich uchodźców zasiłku 800 plus, to stanął w szranki ze skrajną prawicą, konkurując o to, kto bardziej nie lubi Ukraińców. Jednak ta rywalizacja skazana jest na porażkę. Po pierwsze – jest to ideowa kapitulacja przed wojującym nacjonalizmem. Po drugie – to wtórne i żałosne, bo wszyscy wiedzą, że Trzaskowski tylko powtarza po PiS-ie i Konfederacji. Kiedy Nawrocki niepokojąco zbliżył się w sondażach do prezydenta Warszawy, wystąpiła panika i skok do basenu bez upewnienia się, czy jest w nim woda.

Ta panika do żywego przypomina to, co przed drugą turą wyborów zrobił Komorowski, ogłaszając referendum w sprawie wyborów większościowych. Kierował się podobną naiwną wiarą: że tym gestem kupi głosy wyborców, którzy głosowali na Pawła Kukiza. Wtedy się nie udało i teraz też się nie uda. To marne powielanie prawicowych – a właściwie PiS-owskich – wzorów wyraziło się też rozdawaniem policji radiowozów, co do złudzenia przypomina działania poprzedniej ekipy. Tylko wtedy chodziło o wozy strażackie.

Pokorne podążanie za przeciwnikiem nie może przynieść wyborczego sukcesu. Ale to nie tylko wynik cynizmu i nieporadności, ale przede wszystkim braku własnej wizji, jakiejś oferty dla mas, a nie tylko dla biznesu.

Obecny obóz rządzący zdobył władzę na podstawie jednego hasła: „wszystko, tylko nie PiS". Tak powstała koalicja złożona z obrońców życia poczętego i zwolenników aborcji na życzenie. Koalicja spolaryzowana nie tylko wetem (zwykle potencjalnym, bo projektów nawet nie kierowano do prezydenta), ale i wewnętrzną niespójnością programową.

To sprawiło, że obóz rządowy ma fatalne notowania i już dziś, po roku sprawowania władzy ma zdecydowanie więcej przeciwników niż zwolenników. Im bardziej PO i jego kandydat prezydencki upodobniają się do PiS-u, tym więcej PiS na tym korzysta.

Polska nigdy w historii nie była tak bogata. Jednocześnie uboższa połowa obywateli zarabia ekwiwalent 13 proc. dochodu narodowego. Wina za narastający niedostatek powinna spaść na tych, którzy na tej nierówności korzystają, bo z PKB biorą sobie więcej – ale ani PO, ani PiS nie ważą się podnieść ręki na korporacje i milionerów. Prawica, a zwłaszcza PiS, za wszystkie polskie problemy, łącznie z pogodą, wini Niemców. Co ciekawe, Rosja, która zafundowała nam wojnę i wysokie ceny energii, nie jest nawet w połowie tak często krytykowana.

PO próbuje zwalać na poprzedników – co im dalej od zmiany władzy, tym słabszy daje skutek. Co ciekawe, ani jedni, ani drudzy nie wspominają o niesprawiedliwym podziale dochodu narodowego, o nierównościach.

Rafał Trzaskowski jest postacią jeśli nie tragiczną, to żałosną. Postanowił zaprzyjaźnić się z idolem muzyki chodnikowej Martyniukiem. Poza na przyjaciela ludu, schlebiającego wszelkim gustom muzycznym, wypadła jednak mało wiarygodnie w wykonaniu człowieka, który jeszcze nie tak dawno chwalił się, że francuskiego uczył się u profesora Geremka w elitarnej szkole. Te przechwałki sprawiły, że w środowisku młodej lewicy zyskał on miano Bonjoura. Nie można być aż takim snobem i jednocześnie udawać brata łatę w stylu Kwaśniewskiego, który swoim „Ole Olek" osiągnął sukces, o jakim Trzaskowski może tylko pomarzyć.

A teraz wisienka na torcie. Na początku kampanii Tusk zapewniał, że kontynuację programu 800+ zawdzięczamy Trzaskowskiemu, który ma tak miękkie serce, że przekonał premiera, by ten zasiłek dla dzieci utrzymać.

Ten sam „przyjaciel dzieci" kilka tygodni później zażądał, żeby dzieciom (ukraińskim) ten zasiłek odebrać. Zdecydowana większość naszych ukraińskich gości pracuje, a jeśli nie pracuje, to zwykle szuka pracy. Karanie dzieci tych rodziców – zwykle matek, które pracy nie mają – to objaw skrajnego braku empatii i jakichkolwiek zasad.

Ta kampania prezydencka pokazuje, jak liberalizm, który idzie w rozsypkę, przegrywa z nacjonalizmem, który ma się coraz lepiej. Nie wiadomo w końcu, czy śmiać się, czy płakać.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 950b77d5d4

Górnicy wiedzą, z kim walczą

„NIE" rozmawia z JAROSŁAWEM NIEMCEM, przewodniczącym Związku Zawodowego „Przeróbka" w Lubelskim Węglu „Bogdanka", liderem zwycięskiego protestu głodowego.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Wasz protest i głodówka w Bogdance trwały dziewięć dni. Najpierw rzecznik kopalni twierdził, że strajk jest nielegalny, ale już po kilku dniach wojewoda powiedział PAP, że walne zgromadzenie mające na celu podporządkowanie was Enei zostało odwołane. Teraz, jak rozumiem, umówili się z wami na rozmowy?

– Tak. Od początku chodziło nam, żeby to były rozmowy z przedstawicielami trzech ministerstw – bo aż trzy resorty odpowiadają za tę branżę. I każdy mówi co innego. Chcielibyśmy, żeby uzgodnili wersję.

– Będziecie negocjować. Co chcecie uzyskać?

– Chcemy przede wszystkim umowy społecznej o sprawiedliwej transformacji Lubelskiego Węgla oraz regionu, czyli powiatu łęczyńskiego. Ta umowa społeczna powinna zawierać zabezpieczenie miejsc pracy o podobnym standardzie. Jeśli Bogdanka pracowałaby do 2049 r. – w zakładzie. W razie redukcji miejsc pracy górniczej – zastąpienie ich miejscami o podobnym standardzie zatrudnienia i płacy. Żeby to uciągnąć, żeby zabezpieczyć te miejsca pracy, są także pochodne postulaty. A więc inwestycje w infrastrukturę i zapewnienie jakiegoś finansowania, bo to za darmo się nie odbędzie. Państwo musi w tym być i dysponentem środków, i gwarantem wykonania takiej umowy, bo w ogóle założenia sprawiedliwej transformacji czy Zielonego Ładu miały mieć też taki wymiar społeczny: służyć dobrostanowi społeczności lokalnych, zabezpieczeniu praw pracowniczych, w ogóle – rozwojowi.

– A jak was zamkną, to co? Weźmiecie kredyt, zmienicie pracę?

– Powiat łęczyński to jest monokultura przemysłowa: jeden wielki zakład, który utrzymuje wszystko. 20 proc. pracującej ludności powiatu łęczyńskiego zatrudnionych jest tutaj, w Bogdance. Tu są dobre zarobki, w związku z tym ci ludzie, którzy zarabiają w Bogdance, utrzymują resztę gospodarki. Stąd się nakręcają usługi, handel, budownictwo. To jeden wymiar Bogdanki. Drugi jest społeczny; ludzie są przyzwyczajeni, od lat pracują w tej samej firmie, tu się pobudowali, kupili mieszkania, tu mają rodziny, tu się osiedlili. Emigracja zarobkowa to jest katastrofa ekonomiczna, ale i rozpad tych więzi społecznych. Ta społeczność po prostu zniknie. Zostaną może emeryci. Dlatego bronimy Bogdanki tak rozpaczliwymi środkami.

– Macie trudniej niż na Śląsku?

– Tak, bo dla nas to jest być albo nie być, my nie mamy innych możliwości. Mamy daleko do wszystkich regionów uprzemysłowionych, nie mamy jakiegoś takiego dużego ośrodka miejskiego, innych zakładów, tu perspektywa jest dużo gorsza niż na Śląsku. Śląsk to duża aglomeracja: zurbanizowana, zindustrializowana, z infrastrukturą, tam nikt nie musi się przenosić do innego regionu. U nas, niestety, emigrować możemy do Warszawy, Rzeszowa czy na Śląsk właśnie. Daleko. Nasz region bez kopalni nie ma nic. I tu nawet nikt nie przyjedzie nic robić, bo my nie mamy ani jednej linii kolejowej. Drogi są dwie: jedna wojewódzka, druga powiatowa. Jedną ledwo tir przejedzie, drugą – nie, bo most się załamie. Co my mamy robić? Trzeba inwestować w infrastrukturę, kolej. Nikt nie pomyślał, że można by było Polesie Lubelskie zabezpieczyć jako magazyn wodny.

– Czego oczekujecie?

– Musimy zapewnić ludziom pieniądze na przekwalifikowanie się, ściągać inwestycje. Tak się robi plan transformacji dla regionu: siada się z organizacjami społecznymi, związkami zawodowymi, rozmawia o tym, jak zabezpieczamy miejsca pracy, jak przekwalifikować ludzi. Ile na to trzeba – przede wszystkim – pieniędzy.

– I skąd…

– Te pieniądze trzeba wziąć z rządu. Bo nikt inny tych pieniędzy nie ma. Tak robiono transformację w Niemczech. Trwało to 20 lat. A nam się mówi, że *macie przed sobą 10 czy 15 lat funkcjonowania* – a na później nie ma nic kompletnie. Zero jakiejkolwiek prognozy. Chcemy tego, co robiła na przykład Alexandria Ocasio-Cortez w amerykańskim Kongresie: pisała, jak trzeba zabezpieczać się pod względem społecznym, strukturalnym i tak dalej. To wszystko ludzie już wymyślili i zrobili. Po prostu trzeba umieć zrobić to samo. Tego bym oczekiwał, nic więcej.

– Bogdanka nie została włączona do rządowego programu o wygaszeniu kopalni do 2049 r. Dlaczego?

– Bogdanka miała być kopalnią, która będzie utrzymywać stabilność energetyczną do końca okresu transformacji. To miała być ta ostatnia kopalnia do wygaszenia. Bo jako jedna z niewielu kopalń jest rentowna, a nawet więcej: to kura znosząca złote jajka, 600 mln zł zysku potrafi mieć rocznie. Tu są dobre złoża, które można eksploatować jeszcze przez wiele lat. Tu nie ma jakiegoś zagrożenia geologicznego, tylko trzeba w to inwestować. I, w razie czego, Polska ma to pod ręką.

– Kiedy protestowałeś, w OKO.press pojawił się – zupełnym przypadkiem oczywiście – tekst, który wyliczał, że jedna dziesiąta z PIT przeciętnego podatnika przeznaczana jest na dopłaty do górnictwa. I że za te pieniądze można sfinansować 1000 zł podwyżki nauczycielom.

– No właśnie. My jesteśmy za dobrzy na transformację, w sam raz do licytacji, bo Bogdanka nie pasuje do żadnej wizji transformacji, jakie się roztacza przed opinią publiczną. Do założenia, że trzeba na siłę transformować, bo węgiel jest drogi, górnictwo jest brudne i wszyscy dopłacają. Bo Bogdanka się wymyka tym schematom. Nie wypada nas po prostu zamknąć, bo wyglądałoby to dziwnie, więc robione są podchody, żeby nas najbardziej osłabić, gdzieś tam stłamsić, i najlepiej powoli i po cichu zlikwidować.

– Wsparła was była premier Szydło. Ktoś jeszcze?

– Wsparcie mieliśmy ogromne, tutaj nie mogę narzekać: mnóstwo organizacji, politycy. Ale przede wszystkim wsparła nas lokalna społeczność – wszystkie samorządy powiatu łęczyńskiego stanęły za nami murem. Jeśli chodzi o polityków, oprócz Beaty Szydło, posłanka Filipek-Sobczak z PiS, ale i Paulina Matysiak, która dopominała się o nas z mównicy. Był u nas Piotr Ikonowicz. Rządowej lewicy nie stwierdzono. Chciał do nas przyjeżdżać Janusz Kowalski, chciał Adrian Zandberg. Dużo Konfederacji przyjechało, bo Konfederacja była pierwsza.

– Nie widzicie w tym jakiegoś ryzyka? Że Konfederacja będzie jechać na tym, że żadnych zmian klimatu w ogóle nie ma, bo to wymysł lewactwa? Przez kilka lat próbowałeś tworzyć taki front dla sprawiedliwej transformacji, łączący ekologów, górników i naukowców…

– Ja powiem tak: próbowałem robić to z ekologami. Próbowałem, rozpaczliwie wołałem o to, że jakakolwiek transformacja – Zielony Ład – musi być obudowana umowami społecznymi, takimi wielosystemowymi. Żeby tam było zawarte wszystko: bezpieczeństwo energetyczne, cele klimatyczne i cele społeczne. I że powinna być szeroka debata, że musi powstać plan strategiczny transformacji, taki państwowy, przyjęty dla wszystkich regionów.

Oczywiście my na Bogdance nie będziemy walczyć o plan dla wszystkich regionów. Walczymy o swoje, bo co nam pozostało? Jeżeli nie było szczerej woli, żeby zrobić strategiczny plan transformacji dla całego kraju, to ja też razem ze wszystkimi krzyczę, żeby wypierdalać z tym Zielonym Ładem.

Bo w tym momencie hasło Zielony Ład każdy rozumie inaczej. Wchodzi jakieś ideologiczne, tunelowe myślenie. Jedni mówią, że Zielony Ład to jest coś koniecznego, bo zaraz wszyscy zginiemy. A drudzy krzyczą, że nie ma żadnej katastrofy klimatycznej, a Zielony Ład to wymysł komuchów. Tu się kończy właściwie pole do jakichkolwiek rozmów: dwie opcje o zacięciu religijnym walczą ze sobą na puste hasła, nic z tego nie wynika i jak zwykle zapłacą za to pracownicy i mieszkańcy tego regionu.

– A co hasło Zielony Ład oznacza dla górników?

– Wśród górników jest duża świadomość zmian klimatycznych. My doskonale wiemy, o co w tym wszystkim chodzi, i my byśmy porozmawiali, tylko nikt poważny z nami nie chce rozmawiać. Górnictwo polskie w tym całym Zielonym Ładzie to jest taka kropla w morzu, że czasami to się robi śmieszne. Latanie samolotami bez opamiętania, to że wszędzie jest transport samochodowy, a nie ma transportu kolejowego – o tym jakoś nie gadamy. Trzeba na pewno oczyszczać technologie spalania – ale mam wrażenie, że specjalnie skupiono się na tym nieszczęsnym górnictwie. Być może górnicy idą na pierwszy cel, bo tylko oni są, na razie, zorganizowani i potrafią walczyć. Jak górnictwo się rozwali, to przy okazji rozwalimy związki zawodowe w Polsce i będzie święty spokój.

– Pisałeś kiedyś, że *jedyną i kto wie, czy nie ostatnią w Polsce siłą zdolną do zakwestionowania reguły neoliberalnej ekonomii są górnicy, albowiem transformacja energetyczna, żeby być sprawiedliwa, musi być antysystemowa.* Ale co to właściwie znaczy?

– Każdy, kto widzi w Zielonym Ładzie nie tylko cele klimatyczne, ale szansę na zmianę systemu społeczno-ekonomicznego, powinien nas wspierać. Bo na razie, po tych działaniach, które zostały podjęte, zielony to jest tam tylko dolar. Załóżmy, że OK, zamykamy polskie górnictwo – wyobraźcie sobie, co się dzieje.

– Co?

– Węgiel będzie dalej sprowadzany. W Polsce przez lata będziemy nim palić. Tylko dużo taniej jest kupić jakiś węgiel z Kolumbii, gdzie sprzedażą zajmuje się mafia, z Rosji, Indonezji, czy z Australii. A tam węgiel wydobywa się już całkowicie bez brania pod uwagę środowiska naturalnego. Takich przepisów bezpieczeństwa pracy, takiego prawa górniczego jak w Polsce – to nie ma nigdzie. No i pewnie, nasz węgiel jest trochę droższy, ale bezpieczeństwo i ochrona środowiska muszą kosztować. A skoro nikt nie chce za to płacić u nas, no to kogo tu obchodzi środowisko w jakiejś tam Indonezji? Więc tam się ryje. Chiny będą palić węgiel na potęgę, Indie palą węgiel na potęgę, nikt się nie przejmuje, co tam się dzieje. Ja w ogóle nie wiem, gdzie tu jest cel klimatyczny.

– Transformacje mają to do siebie, że można na nich zarobić.

– Dla biznesu to jest bardzo dobrze. Kasa się będzie zgadzała, nieważne, czy będą ryć tu, czy tam. Byle się kasa zgadzała. A pożyteczni idioci z jednej i z drugiej strony będą się kłócić o to, jak dwutlenek węgla wpływa na środowisko i skąd jest bardziej szkodliwy. Na razie niektórzy twierdzą, że z Europy. Ale dwutlenek węgla nie zna granic. To wszystko stoi na głowie i cały czas widać, że zyski koncernów, korporacji rosną. Mało tego, jeśli się przypatrzymy, jak wyglądają niektóre inwestycje w odnawialne źródła energii, to też jest skandal; to temat na dłuższą rozmowę. O ile się nie poszuka równowagi w tej transformacji, to znaczy, że ona już upada. Trump już to powiedział. Takie myślenie doprowadziło do katastrofy. I niedługo doprowadzi do jeszcze większej. I do klimatycznej, i do społecznej.

– Wolny rynek się nie sprawdza?

– Spójrzcie na ETS – opłatę za emisję CO_2. To niby taki ogólnoeuropejski podatek. Z tym że podatek wynosi tyle i tyle procent, albo tyle i tyle euro. I to jest ustalane na sztywno. Ale ETS nie. On podlega grze rynkowej. To jest szwindel. Ktoś wyczuł interes. I to są rynki finansowe. I następna sprawa. Przychodzi do nas inwestor. I on chce zielonej energii. Zielonej, nie najtańszej. Dlatego że zainwestował w jakieś wiatraki, fotowoltaikę. I jeśli nie zarobi na jednej produkcji, to zarobi na innej. Bo to wszystko jest jeden rynek finansowy. Efekt jest zawsze taki sam – sprowadza się do prywatyzacji zysków i uspołecznienia strat, jak zwykle przy transformacjach. I potem taka kopalnia jak nasza musi się zwijać. Panowie kapitaliści wymyślili sobie świetny interes. Oczywiście ekologów w końcu – powiedzmy – oszukają…

– Wyruchają, chciałeś powiedzieć?

– To ty powiedziałeś. Trzeba by się trochę zastanowić: z kim my walczymy? Czy my walczymy ze sobą, czy walczymy z kapitałem spekulacyjnym? Ale to już jest do przemyślenia dla każdego z was. Nasi górnicy rozumieją, z kim walczą.

Rozmawiał
DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 950b77d5d4

Ilust. PAWEŁ FERENC

Po leki niekoniecznie do apteki

Pigularskie eldorado

Boli głowa po sylwestrze? Noworoczne wyzwania nie pozwalają usnąć? Zamiast lecieć po piguły lepiej strzelić klina i zalać robaka. Opublikowany pod koniec ubiegłego roku raport Najwyższej Izby Kontroli nie pozostawia złudzeń: w kraju nad Wisłą sprzedaje się leki bez recepty, które mogą skutecznie wyeksportować obywateli na drugą stronę dywanu.

Dropsy pod lupą

Opublikowany pod koniec listopada dokument NIK przeszedł bez większego medialnego echa. A szkoda, bo zgruzował do parteru Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych i Państwową Inspekcję Farmaceutyczną – dwie instytucje, które przynajmniej z założenia powinny trzymać pieczę nad bezpieczeństwem pacjentów. NIK wzięła na warsztat dopuszczanie leków bez recepty (OTC – Over-The-Counter), nadzór nad ich jakością, obrotem i reklamą w latach 2019–2023.

Bez wątpienia jest co prześwietlać, bo Polska pigułami stoi. Natura nie znosi próżni, kolejki do NFZ wzmacniają trend do samoleczenia. Trudno zatem się dziwić, że producenci medykamentów stają na rzęsach, by rejestrować swoje produkty jako OTC, a nie wydawane z przepisu lekarza (Rp), szczególnie że leki sprzedawane bez recepty wolno reklamować, często przy okazji wciskając kupującym kit. Specyfiki OTC są przeznaczone do krótkotrwałego, interwencyjnego samoleczenia w najczęściej spotykanych przypadłościach z puli infekcji (kaszel, katar, ból gardła); problemach trawiennych (wzdęcia, bóle wątroby) czy stomatologicznych (ból zęba). 94 proc. z nich jest sprzedawanych w aptekach, gdzie – jak słusznie zauważył NIK – można zasięgnąć porady farmaceuty.

Ambiwalentne odczucia budzi handel lekami w obrocie pozaaptecznym: w sklepach, na stacjach benzynowych, gdzie leżą obok prezerwatyw i batoników, czy w internecie, bo choć z jednej strony łatwość dostępu leków OTC umożliwia szybką pomoc pacjentom, to z drugiej – rodzi pewne niebezpieczeństwa. Za przykład niech posłuży ostatnia afera z lekiem na ból gardła marki Strepsils. Pod koniec września Główny Inspektorat Farmaceutyczny (GIF) wstrzymał w obrocie jedną serię preparatu z powodu zanieczyszczenia o nieznanym pochodzeniu i charakterze, które zlokalizowano w blistrze leku. Kilka dni po decyzji pastylki na gnój w gardle wciąż można było kupić poza aptekami. Sieć zalały zdjęcia farmaceutów z punktów handlowych wszelkiego kalibru, gdzie lek, który nie spełniał wymagań jakościowych, leżał na półkach. A to niejedyny problem. W danych NFZ opublikowanych w lutym 2020 r. stoi jak wół, że jedna trzecia Polaków powyżej 65. roku życia zażywa co najmniej pięć leków dziennie, co zwiększa ryzyko wystąpienia kiepskich w konsekwencjach dla pacjenta reakcji (m.in. polipragmazja). Na deser warto dodać, że w przypadku środków leczniczych o tym samym składzie, którymi handluje się pod różnymi nazwami, wzrasta ryzyko przedawkowania.

NIK ustaliła, że w latach 2019–2022 na 16 wojewódzkich inspektorów sześciu nie skontrolowało ani jednego ogólnodostępnego sklepu sprzedającego leki bez recepty. Niewielka liczba kontroli była związana z brakami kadrowymi. Na koniec 2022 r. w całym kraju wojewódzkie inspektoraty farmaceutyczne zatrudniały zaledwie 112 inspektorów wyposażonych w odpowiednie uprawnienia, co według NIK i zdrowego rozsądku jest dalece niewystarczające. Żeby było mniej zabawnie, obowiązujące przepisy nie przewidują rejestracji placówek prowadzących pozaaptecznią sprzedaż leków bez recepty, przez co wojewódzcy inspektorzy farmaceutyczni nie znają liczby punktów, które podlegają ich kontroli. Zresztą, nawet jeśli do kontroli dojdzie i inspektor stwierdzi nieprawidłowości, nie ma żadnych mechanizmów, żeby postawić placówkę do pionu – choćby w postaci kar finansowych. To nie koniec kuriozów.

Brudne piguły

Według NIK niektóre środki zarejestrowano jako OTC nielegalnie. W przypadku leku na bezsenność Dorminox eksperci z URPL ostrzegali, że stosowanie doksylaminy bez nadzoru lekarza podnosi ryzyko uzależnienia. Co gorsza, składnik czynny leku może powodować inne działania niepożądane, łącznie z ostrą niewydolnością nerek kończącą się w dwumetrowym dole. Robiący furorę na rynku przeciwmigrenowy Dezamigren również wzbudził zastrzeżenia specjalistów z URPL, którzy wielokrotnie informowali producenta leku, że nie powinien on mieć statusu OTC, bo przyjmowanie go bez nadzoru lekarza może stanowić bezpośrednie lub pośrednie zagrożenie dla życia lub zdrowia nawet wówczas, gdy jest stosowany prawidłowo. Cóż z tego? Jak wykazała NIK, w trakcie dopuszczania do obrotu wspomnianych specyfików z inicjatywy firm farmaceutycznych zostały zorganizowane spotkania ich przedstawicieli z pracownikami URPL. Przebieg oraz ustalenia tych randek nie zostały udokumentowane, co było nie tylko niezgodne z Kodeksem postępowania administracyjnego, ale według NIK mogło zrodzić ryzyko wystąpienia mechanizmów korupcjogennych. Poza kuluarami sprawę załatwiono tak, że **producenci leków przedstawili w Urzędzie Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych kwestionariusze z ankietą mającą służyć pacjentom do samodiagnozy i podjęcia decyzji o zażyciu bądź rezygnacji z leku.**

Co więcej, z kontroli przeprowadzonej przez izbę wynika, że zgodę na przyznanie lekom kategorii OTC wydano, uznając takie testy za właściwe dla pacjenta narzędzie diagnostyczne aż w siedmiu na 17 zbadanych przypadków. Kto mieszka w Polsce, ten się w cyrku nie śmieje.

Jest jeszcze jeden aspekt leków sprzedawanych bez lekarskiego glejtu: przyznanie kategorii OTC lekowi zawierającemu określoną substancję czynną powoduje, że prezes URPL nie może odmówić rejestracji kolejnych leków bez recepty mających w składzie tę samą substancję czynną w tym samym wskazaniu medycznym. I tak np. kiedy klepnięto do sprzedaży wspomniany wcześniej Dorminox, zarejestrowano 14 kolejnych leków zawierających substancję czynną *Doxylamini hydrogenosuiccinas*. Lista środków, które według NIK zagrażają pacjentom, jest jednak o wiele dłuższa.

To tylko awaria

4 grudnia na posiedzeniu sejmowej Komisji do Spraw Kontroli Państwowej główny inspektor farmaceutyczny Łukasz Pietrzak przyznał, że prawo farmaceutyczne w obecnym kształcie nie daje urzędowi odpowiednich i efektywnych narzędzi do realizacji kompetencji związanych z pozaaptecznym nadzorem nad lekami. Zdradził również, że w urzędzie toczą się prace nad uregulowaniem lekowego eldorado, które sprawią, że nadzór nad tym segmentem przestanie być iluzoryczny. Najprawdopodobniej oznacza to tyle, że przedsiębiorcy handlujący prochami OTC będą musieli złożyć wniosek o pozwolenie na sprzedaż medykamentów i uzyskać wpis do specjalnego rejestru. Niewykluczone, że za odpowiednią opłatą. Zmiany można zatem, wbrew zapewnieniom Pietrzaka, uznać za kosmetyczne. W temacie karuzeli nieprawidłowości w URPL: kierujący urzędem od 15 lat Grzegorz Cessak wypowiedział się jedynie za pośrednictwem swojego rzecznika: zarzuty NIK nazwał nieuzasadnionymi, bo rzekomych nieprawidłowości nie było, a urząd działa zgodnie z procedurami. Wychodzi na to, że w zasadzie każdy lek da się zarejestrować jako OTC z wyjątkiem jednego jedynego, jakim jest pigułka „dzień po". Może dołączenie kwestionariusza do opakowania by pomogło?

IDALIA DUBICKA

życie W DOBROBYCIE

● GUS-owskie statystyczne czary-mary wykazały, że w porównaniu z grudniem 2023 r. wynagrodzenia w grudniu 2024 r. w przedsiębiorstwach zatrudniających co najmniej 10 pracowników wzrosły o 9,8 proc. Skoro inflacja wynosiła w grudniu 4,7 proc., to znaczy, że realne płace poszły w górę o 4,9 proc. Statystycznie pracownicy większych firm o tyle więcej niż przed rokiem przeciętnie mogli sobie kupić towarów i usług. Średnie grudniowe zarobki wyniosły 8,82 tys. zł brutto. Czyli przeciętny pracownik kosztuje pracodawcę 10,63 tys. zł, sam zaś na rękę dostaje 6,34 tys. zł. GUS wyszło przy okazji coś nader zabawnego. Zarobki netto wzrosły bowiem o 9,3 proc., a pensja brutto o 9,8 proc., co pokazuje, że próba ogarnięcia rozumem enuncjacji GUS dotyczących wynagrodzeń jest zadaniem karkołomnym.

● Próbę zracjonalizowania statystyk postanowił przeprowadzić resort rolnictwa. Widać jego szefostwo miało już dosyć wysłuchiwania brukselskich dowcipów o Polsce, w której o dopłaty rolnicze wnioskuje co roku 1,25 mln „rolników" – tyle, co w Niemczech, Francji, Węgrzech, Irlandii, Danii, Portugalii, Austrii, Finlandii i Belgii razem wziętych. Minister Siekierski przygotował więc nową definicję rolnika aktywnego i wprowadza *katalog rolników, których działalność pozwala na automatyczne uznanie ich za aktywnych zawodowo*. Dzięki temu kasa z dopłat rolniczych ma trafiać nie do wyłudzaczy, ale do realnych producentów. Według przedstawionych przez resort szacunków za aktywnych rolników uznać by należało 570 tys. właścicieli gospodarstw. Czyli ponad dwakroć mniej, niż dziś łapie się na dopłaty. Jeśli jednak ktoś sądzi, że rewolucja ta przejdzie, to nic z tych rzeczy. Setki tysięcy ludzi, którym odbierze się dopłaty, zablokują natychmiast drogi. Zwłaszcza że osoby te, tracąc status rolnika, stracić mogą też możliwość ubezpieczania się za grosze w KRUS. A na coś takiego żaden chłop na pewno się nie zgodzi.

Rys. WIDGET

● Bo nawet mieszkańcy wsi wiedzą dobrze, że płacenie wyższych składek na ubezpieczenie zdrowotne nie ma najmniejszego sensu. Mimo że od lat Ministerstwo Finansów realizuje ustawowy wymóg przeznaczania 7 proc. PKB na zdrowie, sytuacja systematycznie się pogarsza. I jeśli chodzi o pacjentów, którzy oczekują pilnie na zabieg czy konsultację lekarską, to kolejka w ciągu ostatnich dwóch lat wydłużyła się o 70 proc. Działa u nas bowiem mechanizm, który każdą podwyżkę kwot przeznaczanych na zdrowie zamienia automatycznie na wzrost wynagrodzeń dla lekarzy i personelu medycznego. Od 2022 r. mamy ustawę, która gwarantuje podwyżki od 1 lipca dla lekarzy i dla całego personelu medycznego. Koszt tych podwyżek to dokładnie tyle samo, ile więcej państwo przeznacza na ochronę zdrowia. Nie zostaje więc nic, żeby płacić za nadwykonania, pozwolić sobie na nowy sprzęt, czy nawet na pokrycie kosztów droższej energii, droższych leków czy utrzymania samych placówek leczniczych. Taki stan powoduje jednak, że ministra Leszczyna ma święty spokój. Medycy dostają wielką kasę, więc się nie awanturują, chorzy zaś wmogą sobie pomstować, ile chcą, ale ponieważ są niezorganizowani, to dla władzy jakby nie istnieli.

● Naczelna Rada Lekarska doniosła, że kluczowym żądaniem środowiska jest ustanowienie minimalnego wynagrodzenia na poziomie 23 tys. zł brutto miesięcznie. Chciałoby tego dwie trzecie medyków. Oczywiście takie pieniądze miałyby być ledwie podstawą. Do niej winny dochodzić nadgodziny i dyżury. Jedynie 5 proc. lekarzy zgodziłoby się na umowę o pracę za wynagrodzenie poniżej 30 tys. zł brutto. 20 proc. rozważa taką zmianę jedynie przy pensji wynoszącej 60 tys. zł brutto lub więcej. Największa grupa, stanowiąca 36 proc. ankietowanych, wskazała na przedział wynagrodzeń 40–60 tys. zł brutto jako akceptowalny w przypadku umowy o pracę.

● Sieć sklepów Stokrotka niedawno obchodziła swoje 30-lecie. Ma ok. tysiąca marketów na terenie całej Polski. Do czasów rządów PiS, gdy mówiono o repolonizacji i renacjonalizacji, sieć była polska. Ale od 2018 r. Stokrotka Sp. z o.o. należy do litewskiej grupy handlowej Maxima. *My, Pracownicy Stokrotki, codziennie stawiani wobec wyzwań, które przerastają ludzkie możliwości, żądamy poprawy warunków pracy i płacy* – napisali niedawno w petycji ludzie, którzy są dla szefostwa sieci złem koniecznym, ale niezbędnym, aby przynosić firmie zyski. *Nie zgadzamy się na eksploatowanie nas – Pracowników – do granic wytrzymałości, kosztem naszego zdrowia. Nie zgadzamy się na wydłużanie pracy do późnych godzin nocnych* – można było wyczytać w podpisanej

eprasa.pl 950b77d5d4

Podstęp medycyny

Czekając na nowotwór

Rys. JANUARY

wyniki tak rozbieżnych badań trafiają również do ludzi, którzy nas mają leczyć. I to zgodnie z aktualną wiedzą medyczną. Którą jednak? Tą nakazującą przepisywanie pacjentom profilaktycznie witaminy E, czy może profilaktycznie jej zakazującą? Co lekarz może zatem uznać za niekwestionowany kanon medyczny?

Jak twierdzą lekarze, coraz częstszym powodem wizyt pacjentów jest oglądanie przez nich reklam telewizyjnych i dostęp do internetu. Zarówno teksty w sieci, jak i reklamy pełne są informacji o tym, że jak się czuje lekkie zmęczenie po posiłku, ma się wahania nastroju i zadyszkę albo trudności z zasypianiem, to na pewno jest to objaw cukrzycy, raka trzustki, albo nawet i jelita grubego.

Kancerogenna witaminka

Zresztą jeśli pijesz gorącą herbatę, to też będziesz mieć raka. Naukowcy odkryli bowiem, że picie herbaty o temperaturze powyżej 65 stopni Celsjusza jest powiązane z ośmiokrotnie wyższym ryzykiem raka przełyku. Natomiast wlewanie w siebie tegoż naparu o temperaturze 60–65 stopni wiąże się jedynie z podwójnie większym ryzykiem nowotworu. Niestety naukowcy nie podali, jakiego koloru ma być kancerogenna herbata.

Zwłaszcza że innym badaczom wyszło, że zielona herbata zapobiega nowotworom. Zawiera bowiem coś o nazwie katechiny, co hamuje wzrost komórek rakowych i nawet każe im wziąć i umrzeć.

Picie zielonej herbaty według naukowców chroni również przed białaczką i chłoniakiem. Zmniejsza ryzyko raka odbytu oraz zapobiega rakowi skóry i żołądka.

To wszystko nieprawda – orzekł noblista James Watson. *Już jakiś czas temu dowiedziono, że wzbogacanie diety w pokarmy zawierające duże ilości przeciwutleniaczy takich jak beta-karoten, witamina A, witamina C, witamina E czy selen nie zapobiega powstawaniu raka przewodu pokarmowego ani nie wydłuża żywotności pacjentów. W rzeczywistości antyoksydanty mogą wręcz zwiększyć ryzyko powstawania nowotworów. Szczególnie witamina E może prowadzić do rozwoju niewielkiej liczby raków, które nie zaistniałyby bez suplementacji przeciwutleniaczy* – opowiadał o wynikach swoich badań najwyższy autorytet od DNA.

Ale nic z tych rzeczy! Brytyjskim naukowcom wyszło bowiem, że zastrzyk z ekstraktu witaminy E zaaplikowany dożylnie ma natychmiastowy efekt. Już w przeciągu 24 godzin nowotwory zaczynają się kurczyć, a po 10 dniach leczenia prawie całkowicie znikają.

Hola, hola! – zakrzyknęli Amerykanie z Centrum Badań nad Rakiem. Według nich witamina E zwiększa istotnie ryzyko wystąpienia raka prostaty. W grupie mężczyzn przyjmujących duże dawki witaminy E *ryzyko raka prostaty wzrosło aż do 63 proc., a ryzyko nowotworu III stopnia złośliwości histologicznej – o 111 proc.*

Gruczoł krokowy o nazwie stercz, dbający o to, by z faceta miało co wystrzelić w czasie wytrysku, to kolejne pole do popisu medycznych badaczy. Do tej pory dominowała wśród nich teza, że rak rozwija się tam z powodu zbyt dużego stężenia cynku. Stąd ratunkiem przed rakiem miało być kilkukrotne w ciągu tygodnia pozbywanie się zawartości jąder i prostaty. Tyle że ta koncepcja została podważona badaniami równie rzetelnymi co poprzednia. Tym razem naukowcy ustalili, że rak prostaty grozi najbardziej erotomanom i onanistom rekordzistom.

Mało tego! Na ryzyko wystawiają się też ci, którzy w zamiarze nieprzedłużania gatunku przecinają sobie nasieniowody, czyniąc wazektomię. Za karę za nierozmnażanie dostają 20-procentowe zwiększenie szansy na nowotwór prostaty.

Aminokwas w implancie

Dbając o zdrowie, zażywasz witaminy z grupy B? Skoro tak, to hodujesz w sobie nowotwór. Amerykańskiemu Centrum Badań nad Rakiem wyszło po wieloletnich badaniach, że przyjmowanie witamin B_6 i B_{12} przez mężczyzn zwiększa o 30–40 proc. zapadalność na raka płuc. Kobiety są widać jakieś inne, bo im witamina B nie szkodzi.

Jeśli jadasz szparagi, drób, fasolę czy owoce morza i jesteś samicą myszy, też możesz zacząć rozglądać się za onkologiem. Specjaliści z Cambridge, Uniwersytetu Kalifornijskiego i w Toronto opisali w „Nature" wyniki badań dotyczących wpływu asparaginy na rozwój i rozprzestrzenianie się komórek rakowych. Asparagina to jeden z aminokwasów, które powszechnie występują w białkach. Szczególnie zaś w wymienionych wyżej produktach. W testach na myszach chorujących na agresywną formę raka sutka okazało się, że dieta bogata w asparaginę przyspieszyła rozprzestrzenianie się komórek nowotworowych w ich ciałach. U tych, których posiłki miały mało asparaginy, było odwrotnie – rak stawał w miejscu.

Naukowcy nie podali, ile alkoholu spożywały używane do badań myszy. A szkoda, bo ich koledzy z Amerykańskiego Instytutu Badań nad Rakiem wykazali, że wypicie porcji 10 g alkoholu dziennie zwiększa u kobiet przed menopauzą ryzyko raka piersi o 6 proc., a u tych już niemiesiączkujących – o 9 proc.

Jeśli jesteś mieszkającą w Australii kobietą i w piersiach masz implanty, to spodziewaj się chłoniaka trzykroć bardziej, niż gdy nie jesteś z antypodów. Badaczom wychodzi na to, że w Europie i USA wśród kobiet z implantami zachoruje nie więcej niż 1 na 30 tys. osób. Ale już w Australii – jedna na 10 tys. I żaden z nich nie potrafi powiedzieć, skąd taka rozbieżność.

Ale Australia to w ogóle jakaś pokręcona jest. Tam nawet nie potwierdziły się dane o wpływie picia gorącej herbaty na raka gardła. Miejscowym badaczom wyszło za to, że nowotworom w przełyku nie jest winna herbatka, ale refluks, zgaga, otyłość oraz palenie. I to one stanowią przyczynę 80–90 proc. przypadków gruczolakoraka, bo tak nazywa się najczęstszy nowotwór przełyku.

Twój własny system immunologiczny potrafi pokonać raka – przekonują profesorowie z Centrum Badań nad Rakiem Freda Hutchinsona w Seattle. I przytaczają eksperyment, gdy to wstrzyknięto bakterie paciorkowca pacjentowi z rakiem. Nowotwór po tej akcji zniknął. Wyszło na to, że został zutylizowany przez pobudzony do walki układ odpornościowy pacjenta.

A może chory nie był chory? Bo – jak można wyczytać w raporcie amerykańskiego Narodowego Instytutu Raka – *znacząca liczba ludzi, którzy zostali poddani leczeniu raka przez okres ostatnich dziesięcioleci, być może wcale nie chorowała na raka*. Z raportu wynika, że nadrozpoznawalność i błędna diagnoza doprowadziły miliony zdrowych osób do niepotrzebnego leczenia chemioterapią, radioterapią i operacjami.

Miłośnicy amputowanych piersi Angeliny Jolie też musieli się poczuć niefajnie. Wiele miesięcy po ich usunięciu przez aktorkę spece od onkologii przyznali, że ich wiara w to, że geny BRCA1 i BRCA2, których posiadaczką była Jolie (i które od kilkunastu lat uchodziły w oczach naukowców za główny powód występowania nowotworu piersi), są niewinne. I nie mają z żadnym rakiem nic wspólnego.

Leczenie raka rakiem

Przytoczone powyżej rewelacje naukowe były zamieszczane w szanujących się czasopismach naukowych i w solidnych portalach internetowych. Oczywiście trafiły też do portali i czasopism skierowanych do mniej wyrobionego czytelnika. Co z tej schizofrenii informacyjnej wynika? Chaos i przeświadczenie każdego czytelnika, że w zależności od potrzeb naukowcy udowodnią wszystko. A wyniki opublikują w najlepszych periodykach naukowych.

Nie ma się więc co dziwić, że tworzą się całe ruchy społeczne bazujące na tego typu wywodach. Choćby antyszczepionkowcy, którzy potem zostają ministrami zdrowia. Najgorsze jednak, że wyniki tak rozbieżnych badań trafiają również do ludzi, którzy nas mają leczyć. I to zgodnie z aktualną wiedzą medyczną. Którą jednak? Tą nakazującą przepisywanie pacjentom profilaktycznie witaminy E, czy może profilaktycznie jej zakazującą? Co lekarz może zatem uznać za niekwestionowany kanon medyczny?

W USA, kraju, w którym w kolejkach w szpitalach i przychodniach jest więcej prawników niż pacjentów, a lekarze są nagminnie pozywani do sądów, dawno temu medycy wpadli na racjonalny z kilku powodów pomysł. Federalne instytucje medyczne narzuciły szczegółowo określone procedury dopasowywane do poszczególnych schorzeń. I jeśli lekarz krok po kroku realizuje zapisy rekomendacji, to żaden sąd nie ma prawa zarzucić mu błędu w sztuce.

Amerykańskie instytucje federalne mają zatem obowiązek śledzenia i weryfikowania wszystkiego, co się w medycynie dzieje, a wydawane przez nie rekomendacje są tym, czemu lekarze mogą ufać. Z pracy agend rządu USA korzysta i Światowa Organizacja Zdrowia, przepisując dokładnie to, co stoi w waszyngtońskich kwitach. No i fajnie, tylko teraz nad zdrowiem Amerykanów ma czuwać facet, który skuteczność szczepionek na covid uważa za wymysł producentów.

Nasz kraj tym jednak różni się od Stanów Zjednoczonych, że obowiązuje w nim absolutna wolnoamerykanka medyczna. Każdy medyk może co prawda korzystać z rekomendacji WHO. Ma też do dyspozycji rekomendacje krajowych lekarskich towarzystw medycznych. Tyle tylko, że wspieranie się nimi w sądzie do niczego nie prowadzi. Opinie te nie mają żadnego umocowania prawnego. W myśl ustawy lekarz ma się opierać na swojej wiedzy, a nie jakichś zapisach. Polski system prawny nie dorobił się instytucji, na której obiektywizm i autorytet mógłby się powołać przed sądem lekarz. Czy choćby sprawdzić, czy może z powodzeniem przepisywać pacjentom takie czy inne witaminy bez obawy, że wywołają u nich raka.

Ponieważ nie ma w Polsce takiego autorytetu, to niech się nikt nie dziwi, że lekarze postępują najczęściej tak, jak słyszą to na szkoleniach organizowanych przez firmy farmaceutyczne. Bo jeśli wypiszą określony wciskany przez koncern lek, to nawet gdy nie zadziała, przynajmniej będą do przodu o parę złotych odebranych w formie bonusa od farmaceutów lub producentów sprzętu.

Co jednak ma począć z natłokiem informacji medycznych Polak hipochondryk? Syn narodu, z którego trzy czwarte codziennie zjada garść reklamowanych wszędzie suplementów?

Winien czekać otóż na nowotwór, który go pewnie nie ominie. Głównie dlatego, że podnosi się tak długość życia, jak i stan zdrowia. Na raka będą chorować ci, którzy dawniej nie dożyliby tej chwili z powodu wylewu czy zawału serca. Rak jest skutkiem mutacji komórek, a tych jest tym więcej, im więcej mamy lat. Rosnącymi liczbami nowotworów nie ma się więc co przejmować, tylko starać się tak korzystać z wiedzy i doświadczenia, żeby wyhodować raka jak najpóźniej. W 1990 r. wykrywano w Polsce nieco ponad 80 tys. przypadków raka rocznie. Teraz ponad dwa razy tyle. Za 15 lat nowych pacjentów onkologicznych będziemy mieć rocznie nawet 250 tys. Znaczną część z nich będą stanowili ludzie żywiący się zdrowo, uprawiający rekreacyjnie sport i przyjmujący chroniące przed chorobami witaminy i mikroelementy.

TOMASZ BOROWIECKI

przez niemal 1000 pracowników petycji. Pracownicy litewskiej Stokrotki są grzeczni, bo zamiast przejść do szukających pracowników innych sieci handlowych, wzywają zarząd firmy do zwiększenia liczby etatów w sklepach, podwyżki wynagrodzeń oraz sprawiedliwych zasad premiowania.

● Produkcja sektora pojazdów samochodowych skurczyła się w Polsce rok do roku o aż 14,8 proc. Produkcja metali przez ten okres spadła o 3,3 proc. 6,5-procentowy spadek miała też branża zajmująca się produkcją baterii do samochodów elektrycznych. Ale za to przetwórstwo żywności poszło w górę o 6,5 proc. Nieznacznie – o 1,6 proc. – podniosła się jeszcze produkcja wyrobów z gumy i tworzyw sztucznych. W górę – o 2,8 proc. – powędrowały też wyniki górnictwa, i to mimo że górnictwo węgla zanotowało niemal 5 proc. spadek. Skoro produkujemy coraz mniej, to z czego właściwie polska gospodarka żyje? Okazuje się, że z usług architektonicznych i inżynieryjnych, które wzrosły rok do roku o 26 proc., przychodów transportu wodnego – wzrost o 21,8 proc. i usług serwisów informacyjnych, które skoczyły przez rok o 18,9 proc. Usługi noclegowe poszybowały o 8,9 proc., a usługi biur podróży o 8 proc. rok do roku. Wszystkim tym, którym wydaje się, że to przemysł stanowi o potędze państwa, należy się więc wytłumaczenie, że tak już nie jest. Mimo spadku produkcji polską gospodarkę ratują usługi. W ostatnim roku Polska miała czwartą najwyższą dynamikę wzrostu usług w Unii. Osiągnęła ona 6,3 proc. i nie jest to nasze usługowe ostatnie słowo.

TTJ

eprasa.pl 950b77d5d4

Kościół od zakrystii

Prezentujemy fragmenty „Zakrystii" autorstwa Artura Nowaka, przy której miałem okazję współpracować. Książka ukazała się w połowie stycznia nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka. To kolejna w dorobku tego autora pozycja na tematy kościelne, które przestały być tematem tabu w mainstreamie. Choć od lat opisuję kościelne patologie, to każde takie kompendium wiedzy o klerze nadal zaskakuje skalą nadużyć, a także swoistą pomysłowością i bezczelnością naszych „okupantów".

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Mafia

„Oni są jak mafia. Co tam mafia? Mafia to się może od nich uczyć". Przyznam, że ilekroć słyszę tego typu stwierdzenia od księży, mam ochotę zapytać: „Halo, panowie! A co wy robicie w tym towarzystwie?". Nie jestem jednak złośliwy. Rozumiem, że trzeba jakoś się utrzymać. Że po latach ubezwłasnowolnienia, odzwyczajania od praktycznej strony życia, przy braku umiejętności tak podstawowych jak pranie czy gotowanie, braku troski o opłacenie rachunków i bez jakichś sensownych kwalifikacji, dzięki którym można się odnaleźć na rynku pracy, nie jest łatwo opuścić struktury cosa nostry. No i co powiedziałaby mama?

• • •

(…) Innym sposobem zarobku, z którego korzystają wszyscy, jest tak zwany numer na księdza. To dość prosta metoda, polegająca na wykazaniu kosztów dla darczyńców. A oto przykład jednej z wielu spraw opisanych jakiś czas temu przez media: ksiądz miał przyjmować fikcyjne darowizny od spółki z Wielkopolski oraz od innych podmiotów gospodarczych. Pieniądze wpływały na konto parafii, ale potem były oddawane wpłacającym. Zysk księdza miał polegać na procencie od wpłaty, a donator za to mógł całą darowiznę na Kościół odliczyć sobie od podatku. Na tym patencie duchowni robią duże interesy. Wiosną 2024 r. CBA zatrzymało księdza z bródnowskiej parafii w Warszawie. Szkoda, którą poniósł fiskus w związku z procederem, przekroczyła pięć milionów złotych. Biznes trwał cztery lata. Proboszcz poświadczał nieprawdę o przyjmowaniu znaczących sum na cele kultu religijnego, a rzekomi darczyńcy pomniejszali należny podatek dochodowy o te kwoty. Jeśli szkoda z nieodprowadzonego podatku wynosiła pięć milionów, mówimy o darowiznach opiewających na dziesiątki milionów. Donatorami byli wierni – siedemnastu zamożnych przedsiębiorców, z którymi ksiądz uzgodnił szczegóły procederu. Czyżby to on był mózgiem operacji? Proboszcz poza oskarżeniem o udział w procederze organizowania lipnych darowizn usłyszał jeszcze jeden zarzut, który dotyczy przywłaszczenia co najmniej dwustu tysięcy złotych, które wierni przekazali Kościołowi w formie darowizny.

• • •

Biznes lubi duchownych. Być może ta moda wśród przedsiębiorców powoli zanika, ale przecież był czas, kiedy wspieranie Kościoła było dobrze widziane. Licheń, Częstochowa, kościół Świętej Brygidy oraz inwestycje ojca Rydzyka to tylko przykłady „dzieł Bożych", które pobudowano z ofiar wiernych. Marcin Plichta, jedna z twarzy tak zwanej afery Amber Gold, był blisko dominikanów w Gdańsku. „Byłem świeżo po wyroku za Multikasy. Postanowiliśmy z Kasią [żoną – dop. red.], że to będzie nasze dziękczynienie za niski wyrok, bo przecież wszystko rozeszło się po kościach" – wspominał z rozrzewnieniem. Podarował jako wsparcie dominikanom „przeszło milion złotych". Owe Multikasy to był jego pierwszy przekręt. Okazuje się jednak, że tak naprawdę podarował zakonowi nie milion, ale co najmniej trzy miliony złotych.

Gosposie

Biskupi wiedzą, że te wszystkie kuzynki, siostry i inne krewne to często partnerki proboszczów. Nie budzą zgorszenia, wręcz przeciwnie. Wszak właśnie one dbają o stateczność księdza.

Lepsza „michałowa" na plebanii niż duchowny skaczący z kwiatka na kwiatek. Przywiązane do Kościoła, znają swoje miejsce i trzymają się raczej z boku. Przepis na ich bezkolizyjne życie na plebanii jest prosty: mają zadbać, żeby nie było plotek.

Jak im zapobiec? Nie rzucać się w oczy. Całymi dniami uwijają się więc cicho przy garach, ujeżdżając mopy i odkurzacze. Z czasem zaczynają zarządzać najemną siłą roboczą, która dba o porządek na plebanii i kuchnię. A wieczorami gdzieś za zamkniętymi drzwiami pokoi, do których dostęp ma tylko ścisłe grono wtajemniczonych, spełniają jeszcze jedną funkcję: tulą spracowane i gorące od kotłujących się myśli głowy i dają swoim skrytym kochankom wytchnienie. I to w ostatecznym rozrachunku jest dla nich najważniejsze.

• • •

Jak wspominał w rozmowie z Ignacym Dudkiewiczem biskup Marian Gołębiewski, problemem nie jest dla hierarchów obecność gosposi na plebaniach, ale to, że *„jakaś kobieta za bardzo opanowała parafię. Ludzie rozumieją, że ksiądz musi mieć pomoc na plebanii, ale w biurze chcą rozmawiać z proboszczem, nie z gospodynią"*. Wierni nie potrafią zaakceptować i zrozumieć obecności na plebanii silnej kobiety. Chodzi więc o władzę, władzę w Kościele. W diecezji, parafii, Kościele ma ją sprawować mężczyzna.

Zakonnice

Kiedyś zakonnice nie miały żadnego kontaktu ze światem. Izolacja społeczna, brak dostępu do mediów, biczowanie się i posty, wreszcie samotność miały je zbliżyć do Boga. Jeden z pracowników Służby Bezpieczeństwa opowiadał mi o siostrach, które odchodziły w latach osiemdziesiątych z klasztorów. Narażone były na ostracyzm. Rodziny nie chciały ich przyjąć do siebie. Skarżyły się w Urzędzie do spraw Wyznań na panujące w zakonach przemoc, wyzysk, okrucieństwo. Były dobrym materiałem do współpracy. Wracały więc do klasztoru, zaopatrzone w instrukcje i nową misję. „To były trudne przypadki" – wspomina funkcjonariusz IV Departamentu – „bo o ile księża szli tam robić kariery i zarabiać, one miały tak zwane powołanie". Uśmiecha się, jakby wymienił nazwę jakiejś jednostki chorobowej.

• • •

Znajomy ksiądz opowiada mi, jak to nieżyjący już Adam Lepa, późniejszy biskup z Łodzi, przyniósł do jednego z klasztorów telewizor. Chciał, żeby siostry mogły śledzić pierwszą pielgrzymkę Jana Pawła II do Polski. Wystarał się u przełożonych o jakąś dyspensę na włączenie odbiornika. Dla niektórych sióstr to był pierwszy kontakt z tym wynalazkiem. O ile młodsze siostry oglądały pielgrzymkę z zaciekawieniem, o tyle starsze miały wyraz twarzy, jakby zobaczyły statek kosmiczny. Bolała je głowa, pochorowały się od tego telewizora. Żyły w swoim świecie i dbały, by nic ze środka nie przedostało się na zewnątrz.

PRL

– Po co nam do współpracy Wałęsa, skoro mieliśmy w jego najbliższym gronie współpracujących księży i biskupów? – pyta mnie jeden z pracowników IV Departamentu SB. Spotkałem go na jednym z pogrzebów zasłużonych funkcjonariuszy. Taki esbecki pochówek to tak naprawdę jedyna okazja, żeby złapać jakiś kontakt z tym środowiskiem. Najlepiej byłoby się pewnie załapać na stypę, ale nie jestem aż tak bezczelny, choć pewnie w tym tłoku nikt by mnie nie zauważył.

• • •

„Wszyscy się boją" – tłumaczy mi córka jednego z dygnitarzy służb specjalnych, z którego zdrowiem jest coraz gorzej. „Tyle już lat minęło, a oni ciągają go po prokuraturach". To fakt, kiedy Prawo i Sprawiedliwość doszło do władzy, żeby nasycić niskie instynkty tłuszczy obwiniającej o wszystko komunistów, usłużni tej partii prokuratorzy nie mieli skrupułów, by choćby w asyście karetki ratunkowej doprowadzać staruszków na przesłuchania. Prokuratorzy w IPN-ie dostają ponad dwadzieścia tysięcy miesięcznie za to, że mielą latami sprawy jednego albo dwóch dziadków.

• • •

(…) Polska, lata osiemdziesiąte. Brokat, wódka i kiełbasa spod lady – oto karnawał, na jaki było stać obywatela Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Ale byli wybrańcy.

– Mieliśmy kontyngent alkoholi, papierosów i różnych frykasów – wspomina mój informator ze służb. Siedzimy w południe w zacisznej knajpce w Galerii Mokotów. Mój rozmówca zamawia tylko wodę. Ma problemy z żołądkiem. Napiłby się kawy, ale woli nie ryzykować. Najpierw służba zszargała mu nerwy, a potem nadszedł czas rozliczeń. – Wszystkich nas wpakowali do jednego worka – żali się. – W każdym razie za butelkę koniaku czy wagon papierosów księża sprzedawali swoich kolegów na papier.

• • •

W tamtej rzeczywistości pieniądze niewiele znaczyły. Liczył się dostęp. W społeczeństwie, w którym dystrybucja towarów jest reglamentowana, wolność gospodarcza nie istnieje, liczy się dostęp. Dawny esbek opowiada mi o jednej akcji z biskupem w roli głównej:

– Prostytutki w Polsce nie narzekały na dochody – wyjaśnia – no, ale jak dałeś takiej paszport, to wskakiwała na zupełnie inny level. Do jej dochodów spokojnie mogłeś dopisać jedno zero. A jak jej dałeś wejście do hotelu, to był już Dubaj. Hotelami zarządzały wtedy służby. Był sobie taki biskup – (umówiłem się z moim rozmówcą, że nie zdradzę nazwiska) – i mieliśmy informację, że szlaja się po burdelach i cichodajkach. Kler nie zdawał sobie chyba sprawy, że my każdy taki obiekt mieliśmy pod kontrolą. No i chłopcy zrobili akcję i wystawili nam tego biskupa. Panna dostała za tę akcję wszystko – paszport, hotele... Naprawdę zapracowała sobie na to. Mieliśmy świetny film z pokoju. Na kilka obiektywów.

– I jak to się skończyło?

– Poszedł w zaparte. – Mina mu rzednie. – Odmówił współpracy. „Nic mi nie zrobicie!" – wrzeszczał. Narobiliśmy kopii, jakieś niesamowite ilości, i to poszło w świat. Ale w Watykanie nie zrobiło to na nikim specjalnego wrażenia. Miał plecy.

Artur Nowak, „Zakrystia", Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2025.

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Sakralna betonoza trwa. W niewielkiej miejscowości Konotopie pod Toruniem powstanie gigantyczny pomnik Matki Boskiej, który ma osiągnąć wysokość ponad 55 m. Tym samym figura będzie większa od pomnika Chrystusa w Rio de Janeiro oraz Jezusa w Świebodzinie. Obiekt w Konotopiu ma mieć także taras widokowy, z którego będzie można podziwiać okolicę. Inicjatorem i fundatorem budowy pomnika Matki Boskiej jest małżeństwo Grażyny i Romana Karkosików będących w czołówce najbogatszych Polaków. Inwestycja ma dla nich wymiar duchowy i stanowi formę podziękowania.

✚ Ksiądz Mirosław Król, proboszcz parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Jaworznie Długoszynie poprosił o pomoc w kolędzie zaprzyjaźnionego księdza. Jak się okazało, kumplem w sutannie był oskarżony o czyny pedofilskie ks. Dariusz L. Klecha został zatrzymany wraz z dwiema innymi osobami w październiku 2024 r. Usłyszał wówczas zarzuty molestowania dziewięciorga dzieci, za do grozi mu 12 lat odsiadki. Duchowny został objęty dozorem policyjnym, zakazem opuszczania kraju i kontaktowania się z pokrzywdzonymi. Proboszcz Mirosław Król w rozmowie z lokalnymi mediami potwierdził, że zdawał sobie sprawę z ciążących na koledze zarzutów. Księdzu Dariuszowi L. w przypadku następnego złamania ciążącego na nim zakazu pełnienia posługi duszpasterskiej grozi kara suspensy. Proboszczowi za harce z przyjacielem pedofilem udzielono przewidzianej przez prawo kościelne nagany.

✚ Jak poinformowała diecezja sosnowiecka, skazany na 1,5 roku pierdzenia w pasiak za przestępstwa przeciwko wolności seksualnej i obyczajności, nieudzielenie pomocy i podawanie narkotyków ks. Tomasz Z. z Dąbrowy Górniczej został – decyzją Stolicy Apostolskiej – karnie przeniesiony do stanu świeckiego. Kiepsko, wszak to zakazany owoc smakuje najlepiej.

✚ Na początku lutego przed częstochowskim sądem stanie Dariusz G., duchowny z zakonu paulinów w Częstochowie. Mężczyzna usłyszał zarzut dotyczący elektronicznej korupcji małoletniego poniżej 15. roku życia, za co grozi mu do trzech lat pozbawienia wolności; a także utrwalania treści pornograficznych z udziałem małoletniego, co wymiar sprawiedliwości wycenia na 15 lat za kratami. Życzymy możliwie najwyższego wyroku.

✚ Z rządowych danych przekazanych na wniosek posłów Lewicy Włodzimierza Czarzastego i Anny Marii Żukowskiej wynika, że niemal 230 mln zł wyniósł w latach 2015–2023 koszt utrzymania duchownych m.in. w straży granicznej, wojsku, policji czy skarbówce. Niewątpliwą wisienką na tym kosztownym torcie jest kwota, którą wyciągnął klecha zatrudniony w Lasach Państwowych. Chodzi o sumę 863 091,17 zł brutto, którą duchowny zarobił w latach 2017–2020. Zakładając, że ksiądz pracował przez pełne trzy lata, daje to średnio 23 974 zł miesięcznie. Choć resort nie sprecyzował, o kogo chodzi, wiewiórki donoszą, że trop prowadzi do księdza Jana Duszkiewicza nazywanego prawą ręką Jana Szyszki. Zarobki księdza były wówczas pilnie strzeżoną tajemnicą. Nie rozumiemy dlaczego. Takiego hajsu nie powstydziłby się nikt.

KLECHA

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl 950b77d5d4

Sztandar pośpiesznie wyprowadzony

35 lat temu przestała istnieć PZPR

Proszę o powstanie! Sztandar Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wyprowadzić! – tymi słowami Mieczysław F. Rakowski przypieczętował koniec partii, na czele której stał jako jej ostatni I sekretarz. Zamknął ponad 40-letnie dzieje. 29 stycznia 1990 r. uczestnicy XI Zjazdu PZPR przyjęli uchwałę o zakończeniu działalności partii. Ocenili ją surowo: *Zrodzony w powojennych warunkach ograniczonej suwerenności i stalinowskiej dominacji ustrój społeczno-ekonomiczny nie potrafił zaspokoić społecznych potrzeb, nie zapewnił realizacji wartości, których emanacją miał być. Nie stało w nim bowiem ani wolności, ani sprawiedliwości.* Nie była to sprawiedliwa ocena roli historycznej PZPR. Formułowano ją pod naciskiem sytuacji, wzmagającej się napastliwości politycznej i propagandowej obozu solidarnościowego, coraz jawniej i bezczelniej wycofującego się z partnerstwa okrągłostołowego, któremu zawdzięczał własne dojście do władzy. Wymuszona rezygnacja Jaruzelskiego z urzędu prezydenta i klęska Mazowieckiego w wyborach na jego miejsce były tego symbolem.

❶

Choć już od lat byłem poza strukturami politycznymi i zajmowałem się pracą naukową, w tym ostatnim zjeździe PZPR uczestniczyłem w charakterze gościa. Zapamiętałem nastrój sali. Panowała atmosfera klęski, upadku ducha, kapitulacji. Nie podzielałem tego nastroju. Sądziłem wtedy – i jestem przekonany obecnie – że PZPR mimo błędów i niegodziwości zasłużyła na ocenę bardziej pozytywną niż zapisana w uchwałach tego zjazdu. Roztoczyła parasol ochronny nad odrębną państwowością Polski, ustrzegła ją przed losem Litwy czy Mongolii. Wykorzystała każdą słabość radzieckiego hegemona do powiększenia autonomii swego kraju. Zdobyła szacunek w świecie. Polska była jedynym państwem zależnym od ZSRR odwiedzanym przez prezydentów USA i premierów zachodnioeuropejskich. Rządy PZPR oswoiły i udomowiły nowy kształt terytorialny kraju, znalazły drogę do porozumienia z Kościołem. Partia ta wyłoniła przywódców wielkiej klasy: Władysława Gomułkę, Edwarda Gierka, Wojciecha Jaruzelskiego.

PZPR nie straciła władzy w walce z Solidarnością, nie została pokonana. Z inicjatywy swego przywództwa wyszła na spotkanie nowego układu sił w świecie po zimnej wojnie, zainicjowała przy okrągłym stole negocjacje, które otworzyły drogę do politycznej i ustrojowej transformacji.

PZPR nie padła ofiarą rewolucji, lecz we współdziałaniu z mocarstwami światowymi była jednym z rodziców nowej III RP. W fazie początkowej – decydującym. Gdyby XI Zjazd był na poziomie, to napisałby w swej uchwale, że PZPR zasłużyła się Polsce na miarę możliwości i warunków

w trudnych latach zimnej wojny – ale tego nie zrobił.

❷

Wybory czerwcowe 1989 r. były zasłużoną porażką, ale nie totalną klęską PZPR. W części wolnej – niekontraktowej – na kandydatów jej obozu głosowało 25 do 30 proc. wyborców. 38 proc. zbojkotowało te wybory. Kandydaci Solidarności zostali wybrani przez mniejszość elektoratu; znaczną, ale mniejszość – mniej więcej przez 35–38 proc. Taki wynik dla PZPR, która cztery dziesięciolecia rządziła autorytarnie, po części nawet dyktatorsko, nie przynosił jej ujmy.

Skąd zatem nastrój kapitulacji? Powstał wskutek kompromitującego i przygnębiającego przeliczenia głosów na mandaty w wyborach do senatu, gdzie obóz PZPR nie zdobył ani jednego mandatu. Wprawiło to solidaruchów w euforię. Nikt nie brał pod uwagę faktu, że rozmiary tej klęski były jedynie pozorne i zawinione rażącą omyłką kierownictwa PZPR. Do dziś nie mogę wyjść ze zdumienia, że nikt z tego kierownictwa – w którym zasiadało kilku profesorów nauk społecznych – nie zauważył w porę tej pomyłki. Warto jej poświęcić chwilę uwagi.

Pomysł przejścia od systemu autorytarnego do liberalnego poprzez stopniowanie reformy systemu wyborczego był trafny: przez jedną kadencję sejm kontraktowy z ustalonym negocjacyjnie wynikiem i nowa izba senatu wybierana w systemie wolnej rywalizacji. Pomysł z senatem był nawet genialny, ale od razu został zepsuty przez fatalnie niedostosowaną ordynację. Prawdopodobnie jakiś neofita-dupoliz, wielbiciel Ameryki, zaproponował, aby w szczegółach ów nowy senat oprzeć na wzorcu amerykańskim: województwa uznać za odpowiedniki stanów (po dwa mandaty), a wybory zarządzić według anglosaskiego systemu większościowego. Nikt nie połapał się, że ten system, pasujący do federacji amerykańskiej, nie pasował do państwa unitarnego, a dodatkowo groził zafałszowaniem wyniku wyborów. Wszystkie sondaże alarmowały, że obóz PZPR w konkurencyjnych wyborach zdobędzie mniej głosów niż solidarnościowy; może nawet o połowę mniej. A to oznaczało, że przy ordynacji typu anglosaskiego może nie zdobyć w senacie ani jednego mandatu.

Wydarzenia te śledziłem i po przeczytaniu w prasie treści uzgodnień w sprawie senatu napisałem do dwu moich przyjaciół w ówczesnym kierownictwie PZPR – Kazimierza Barcikowskiego i Mietka Rakowskiego – list tej treści (cytuję z pamięci): *Bóg zapewne zamierzył was ukarać, gdyż na początek pozbawił rozumu. Dobry pomysł z senatem uśmiercacie ordynacją większościową, przy tej ordynacji i aktualnych nastrojach nie zdobędziecie w senacie ani jednego mandatu. Dlaczego nie wybraliście polskiej przedwojennej ordynacji proporcjonalnej, która gwarantowałyby 25–30 mandatów*. Rakowski pokazał ten list Jaruzelskiemu, który przejął się moim pesymizmem i zaproponował, aby ktoś z sekretarzy KC popróbował tchnąć we mnie trochę optymizmu. Zgłosił się entuzjasta Zygmunt Czarzasty (nic z wspólnego z Włodzimierzem poza nazwiskiem). Rozmowa była przygnębiająca: świergotał z zapałem, że ma na dłoni 60 proc. miejsc w senacie i troszczy się tylko o to, aby Solidarności nie skrzywdzić. Gdy wychodziłem, przypomniał mi się komentarz pana Onufrego Zagłoby w sytuacjach beznadziejnych: *Przepadłem ja i pchły moje!* Listu tego nie publikowałem – obserwując triumfalizm solidaruchów, nie chciałem znęcać się nad moimi dawnymi towarzyszami. Po kilku latach, gdy ukazał się 10. tom dzienników Rakowskiego, ze zdziwieniem zobaczyłem w nim mój list w całości. MFR udostępnił go historii.

❸

Na XI Zjeździe najgłośniej za rozwiązaniem PZPR optowali dość liczni tam – autentyczni, a często tylko przyszywani – demokratyczni opozycjoniści z czasów PRL. Chcieli już jak najszybciej zalegalizować się na równych prawach w establishmencie Polski pojałtańskiej, kapitalistycznej. Powołać własną socjaldemokratyczną partię dystansującą się od poprzedniczki i bez jej wodzów, na własny tylko rachunek. I tę misję wykonali zdumiewająco szybko i pomyślnie. Już po kilku latach współrządzili Polską. Zyskali na pewien okres duże poparcie społeczne, a gdyby Marek Belka nie zepsuł im nabożeństwa swym podatkiem od oszczędności (oprotestowałem to w prasie ku oburzeniu Adama Michnika), mieliby nawet samodzielną większość w sejmie. Ale i bez takowej ta formacja wywodząca się z Polski Ludowej aktywnie współtworzyła III RP, wprowadzała ją do NATO i Unii Europejskiej, patronowała pracom nad nową, całkiem udaną konstytucją. Zrodzona politycznie w czasach socjalizmu państwowego i autorytarnego, okazała się przekonanym i konsekwentnym rzecznikiem demokracji. Lepszym od postsolidarności, w której ciągle dochodziły do głosu ciągoty za wejściem w buty PZPR i jej nomenklatury. Aleksander Kwaśniewski, prezydent wyłoniony z tej formacji, był niewątpliwie lepszym demokratą od swego solidarnościowego poprzednika i – tym bardziej – od wszystkich solidarnościowych następców.

Pozostałe ważne zadania ciążące na spadkobiercach Polski Ludowej w III RP nie zostały już tak dobrze wykonane. Nie przeciwstawiła się ta socjaldemokracja skutecznie, nawet gdy rządziła, wiarołomstwu posolidarnościowych stronnictw, ich nagonce na Polskę Ludową i jej ludzi, haniebnym prześladowaniom Jaruzelskiego, ekscesom dekomunizacji i lustracji. Po nieudanej próbie zawetowania ustawy o IPN pogodziła się z jego ekspansją – choć mogła, dopóki rządziła, udusić tego potworka metodą amerykańską, budżetem i finansami. Największą winą tej socjaldemokratycznej postpezetpeerowskiej partii było przyłączenie się do liberalnego nurtu w polityce społeczno-gospodarczej lansowanego przez postsolidarność i firmowanego nazwiskiem Leszka Balcerowicza.

Uwierzono w bajeczkę o tym, że przypływ kapitalizmu unosi w górę wszystkie łodzie – choć doświadczenie wskazywało że unosi tylko bogate jachty, a łodzie i łódki topi wraz z biednymi pasażerami. Tolerowano rosnące obszary socjalnego wykluczenia i krzywdy. Ich potrzeby zbywano sloganem: *Pieniędzy nie ma i nie będzie!* Aż nacjonalistyczne i populistyczne Prawo i Sprawiedliwość dostrzegło w tych obszarach wykluczenia i krzywdy socjalnej polityczne złoto i posłużyło się nimi dla zdobycia władzy na osiem lat oraz zbudowania pozycji umożliwiającej powrót do niej w przyszłości. Tym bardziej że zjawisko socjalnego wykluczenia urosło tymczasem – wskutek globalizacji – z lokalnego do skali światowej.

Nasuwa się niezbyt pocieszająca refleksja. Być może Mieczysław F. Rakowski nieco się z tym wyprowadzaniem sztandaru pośpieszył, a w każdym razie nie wytyczył skutecznej metody i właściwej drogi omijania tych nowych pułapek.

ANDRZEJ WERBLAN

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Feministyczny moralitet

Kulmowie inaczej

Mój przyjaciel Kuba Kopeć napisał wredną książkę o Kulmach. Kopciowa wredota zapewne płynie po trosze z faktu, iż – jak sam w niej przyznaje – z Janem Kulmą, którego przez lata wielbił, rozdzielił ich jakiś głupi i chyba dość małostkowy spór, zwieńczony w sądzie. Przykre, ale daje to portretowi intrygujący i nieoczywisty wymiar.

Książka (za chwilę będzie w księgarniach) zatytułowana cokolwiek złośliwie „Maestro i primadonna" pokazuje trwające dwie trzecie wieku małżeństwo Joanny i Jana Kulmów w barwach nieco mniej pastelowych niż „Ściana Joanny i Jana Kulmów" w Warszawskiej Operze Kameralnej, pełna zdjęć, na których zapatrzeni w siebie bohaterowie trzymają się za ręce. Wizja Kopcia jest mi o tyle bliska, że wynika z niej, iż niezwykle uzdolniona kobieta zmarnowała znaczną część swego potencjału, bo pozwoliła się totalnie zdominować facetowi, który chciał ją mieć na własność. Taki feministyczny moralitet.

Przyznam szczerze, że jakoś nigdy nie odczuwałam potrzeby zapoznania się z poezją Joanny Kulmowej. Może dlatego, że odrzucał mnie sam tytuł jej słynnego poematu „Jak to Pan Jezusek Cierniowy po świecie przepatrywał", łączący w sobie ludowiznę z religianctwem. Poza tym jakoś mi się utrwaliło, że Joanna Kulmowa pisała głównie wiersze dla dzieci. Kopeć zdaje się sugerować jednak, że nie do końca był to jej wybór. W książce znalazła się rozkoszna dykteryjka, jak to pod koniec lat 70. prezes Telewizji Polskiej zaprosił na Woronicza parudziesięciu najwybitniejszych ludzi kultury – obok Kulmów znaleźli się tam Przybora, Młynarski, Osiecka, Kofta, Bardini etc.

Maciej Szczepański zaczął spotkanie od oświadczenia: *Mam radosną wiadomość: jest szmal! – Myśmy czekali na obiecanie nam większej swobody, a pan mówi o szmalu* – oburzyła się Kulmowa, na co zaripostowała Agnieszka Osiecka: *Kulmowa mieszka w puszczy, to jej pieniądze niepotrzebne.*

Szczepański: *To ja o sztuce będę rozmawiał z Kulmami, a z resztą państwa o pieniądzach.*

Wszyscy poza Kulmami zainkasowali wówczas po 150 tys. zł na widowisko telewizyjne – nieważne jakie, *byle było robione z talentem*. Kopeć sugeruje, że koncept niepotrzebnych pieniędzy nie do końca polegał na prawdzie – i gdyby Joanna nie uległa ascetycznej pryncypialności swego męża, mogłaby wtedy stworzyć jakieś ważkie, zapamiętane przez kulturę narodową dzieło, zamiast utrzymywać rodzinę seryjną produkcją wierszyków dla dzieci.

Jest też inny, znacznie poważniejszy wymiar tego podporządkowania i dominacji. Joanna Cichocka była żydowskim dzieckiem, ukrywanym pod koniec wojny w klasztorze; jej emocje wobec katolicyzmu wydawały się intensywnie stłumione i chyba niezbyt ciepłe. Do pewnego stopnia autobiograficzną książkę „Ciułanie siebie" poetka zaczyna od dziwacznego wyznania: *Bałam się, płakałam ze strachu przed ludźmi, którzy pomimo wszystko tak cudownie i niespodziewanie pozwolili mi przeżyć*. Tu autorka stawia kropkę – nie rozwija ani tematu swojego strachu, ani ocalenia – ale wiedząc to, co wiemy dziś o traktowaniu podopiecznych w katolickich klasztorach, możemy zacząć się domyślać. Faktem jest, że jako nastoletnia dziewczyna Joanna wyszła z klasztoru, który *pozwolił jej przeżyć*, niewierząca i nieochrzczona. Wyszła za mąż za Jana Kulmę – w cywilnej ceremonii. I oto nagle, w stanie wojennym – a więc gdzieś koło sześćdziesiątki – Joanna Kulmowa przyjęła chrzest i wzięła ślub kościelny z mężem, który akurat wtedy, w ramach emigracji wewnętrznej, zatrudnił się jako organista w lokalnej parafii pod Stargardem. Kulmowie wyprowadzili się tam jeszcze w latach 60., żeby uciec z *tej dusznej, zakłamanej, ogłupiałej Warszawy*. Kopeć sugeruje, że zarówno ucieczka, jak i nagłe skatolenie wolnomyślicielskiej Żydówki – to efekt tego samego nacisku, który kazał Joannie używać nazwiska „Kulmowa" – tej archaicznej, patriarchalnej formy, która wskazuje na własność raczej niż partnerstwo.

Ludwik Stomma napisał kiedyś o Kulmach w „Polityce", że są *jak dwie pestki jednego owocu*. Chyba uważał, że to coś pięknego – ale dla mnie brzmi to jak wyrok.

AWŁ

Jakub Kopeć, „Maestro i primadonna", wydawnictwo JJK 2025

eprasa.pl 950b77d5d4

Cyt, iskierka zgasła...

Prezydent Trump uznał, że nie potrzebuje zachodnich partnerów. Potrzebuje podwykonawców.

Ilekroć patrzyłem na prezydenta USA Joe Bidena lub go słuchałem, zawsze przypominał mi się los Unii Wolności. Partii politycznej szczycącej się pielęgnowaniem wartości cywilizacji demokratycznego Zachodu. Propagującej je w mediach i środowiskach opiniotwórczych. Wpisującej je do swych wzniosłych prozachodnich, demokratycznych programów wyborczych. Programów zwykle niezrealizowanych, bo polityczna skuteczność Unii Wolności była odwrotnie proporcjonalna do nasycenia jego programów szlachetnie brzmiącymi postulatami. Z biegiem lat Unia Wolności stała się synonimem klubu polityków elegancko ubranych, w mediach niezwykle wygadanych, ale politycznie nieskutecznych. Anachronicznych.

Mumia

Wtedy wprowadziłem do języka tygodnika „NIE" jej ksywkę, która szybko weszła do polskiego języka politycznego. Czyli Mumię Wolności.

Potem, słuchając prezydenta Bidena, też miałem wrażenie, że nie obcuję z przywódca wolnego świata, jak ciągle zwali go polscy politycy i medialny komentariat, lecz ze sztucznie podtrzymywaną przy życiu mumią demokratycznego Zachodu.

Trzeba przypomnieć, że polityczne i medialne pojęcie demokratycznego Zachodu zawsze mieściło w sobie tak fundamentalne wartości jak demokracja parlamentarna, rządy prawa, przestrzeganie praw człowieka oraz liberalna gospodarka rynkowa. Gospodarka wykluczająca centralne planowanie i interwencjonizm państwa, zwłaszcza w prywatne jej sektory.

Pojęcie demokratycznego Zachodu zakładało też spolaryzowany podział naszego świata. Na postępową cywilizację Zachodu, zwaną w polskich media wolnym światem, oraz pozostałą niedemokratyczną barbarię. Sytuowaną zawsze poza cywilizowaną Europą i Ameryką Północną. Zlokalizowaną w peryferyjnej Azji, zacofanej Ameryce Południowej i chronicznie biednej Afryce.

Ameryka i zjednoczona Europa wyszły z zimnej wojny z niezwykłą siłą gospodarczą, militarną i polityczną. To stworzyło iluzję, że wartości, za którymi stały Ameryka i Unia, są powszechnie podzielane, a przynajmniej, że ludzie na wszystkich kontynentach do nich aspirują. To przekonanie było wyjątkowo silne w zjednoczonej Europie, bo tu za sprawą poszerzenia Wspólnoty układ geopolityczny zmienił się niezwykle szybko. Nowe kraje członkowskie robiły wszystko, aby przyjąć zachodnie wartości. Z perspektywy Paryża czy Berlina łatwo było więc ulec wrażeniu, że to jest odczucie powszechne – zauważa w europejskich mediach Mark Leonard, brytyjski analityk stosunków międzynarodowych. I dodaje: *Liberalny porządek międzynarodowy, w szczególności w sferze handlu, gospodarki, doprowadził do niezwykłej redystrybucji bogactwa na świecie. Na tym bardzo skorzystały Chiny, ale także wiele państw średnich rozmiarów. Nigdy nie zapomniały one jednak, że nie brały udziału w kształtowaniu tego porządku i kiedy już osiągnęły pewien poziom rozwoju, chciały mieć większą rolę w podejmowaniu decyzji (...). W Ameryce i Europie panowało przekonanie, że Chińczycy o niczym innym nie marzą jak o integracji z amerykańskim porządkiem światowym, budowie liberalnego systemu gospodarczego i politycznego. Gdy jednak zbierałem w Chinach materiały do książki „Co myślą Chińczycy?", niezmiennie słyszałem: chcemy zbudować nasz własny model, mamy własną wizję świata.*

Chińska alternatywa

Przez ostatnie 30 lat gospodarka chińska szybko rosła. Państwo chińskie udowodniło, że możliwy jest wzrost gospodarczy, powszechne bogacenie się społeczeństwa, postęp naukowo-techniczny bez konieczności wprowadzenia liberalnej gospodarki rynkowej i zachodniej demokracji parlamentarnej.

Elity chińskie stworzyły własny model polityczny, gospodarczy, społeczny. Hybrydę wolnorynkowego kapitalizmu i azjatyckiego socjalizmu. Celnie nazywaną przez profesora Grzegorza W. Kołodkę chinizmem.

W bogacących się Chinach powstała też nowa klasa średnia. Wedle polskich prognoz miała zdemokratyzować chiński system polityczny, upodobnić go do systemu Zachodu. Tak przynajmniej przewidywali polscy kapłani cywilizacji Zachodu.

Tak się jednak nie stało. Dziś nowa chińska klasa średnia postuluje powrót Chin na należne im miejsce. Przypomina na internetowych forach, że jeszcze w 1820 r. chińska gospodarka była pierwsza na świecie.

Potem na Chiny najechały państwa cywilizacji zachodniej. Grabiły Chiny. Paliły zabytki chińskiej kultury. A sąsiednia Rosja zabrała państwu chińskiemu jego Syberię. Nadal jej Chinom nie oddała. W chińskim internecie powszechny jest postulat „Make China great again". Powrót do chińskiej światowej hegemonii dzięki własnej drodze do bogactwa.

Chińska droga inspiruje Turcję. Jeszcze w 1999 r. Turcja zyskała status państwa kandydującego do Unii Europejskiej. W roku 2005 rozpoczęła negocjacje, co wiąże się z przyjęciem zachodnich wzorów. Od tamtego czasu Turcja związała się gospodarczo z Unią Europejską. Ale tureckie elity nie chciały europeizować swego konserwatywnego społeczeństwa.

Dziś Turcja jest gospodarczo obecna w Unii Europejskiej, militarnie – w NATO. Ale politycznie kreuje się na suwerenne regionalne mocarstwo.

Do podobnych mocarstwowych roli aspirują Indie, Brazylia, Republika Południowej Afryki. Coraz częściej takie aspiracje ujawnia Arabia Saudyjska. Taki ukrytym mocarstwem jest już Japonia.

Rys. OBYWATEL JANEK

Po upadku ZSRR wielu europejskich i polskich misjonarzy cywilizacji Zachodu proponowało zachodnią demokrację elitom powstającej wtedy Rosji. Przekonywali, że wraz z bogaceniem się rosyjskiego społeczeństwa nastąpi tam jego automatyczna demokratyzacja. Sprzeciwianie się tym procesom doprowadzi jedynie do zastoju gospodarczego i zubożenia społeczeństwa.

Jednak przeszczep zachodniej demokracji w Rosji się nie przyjął. Mamy tam teraz rosyjską „demokrację suwerenną". System nieortodoksyjnie demokratyczny, ale za to wielce suwerenny. Umacniający Rosję w roli globalnego mocarstwa militarnego.

Pomazaniec boży

Następca waszyngtońskiej mumii demokratycznego Zachodu prezydent Donald Trump już w pierwszym dniu swego urzędowania zrezygnował z należnej mu roli przywódcy wolnego Zachodu.

Trump uznał, że kreując znów Amerykę na wielką, nie potrzebuje do tego zachodnich politycznych partnerów. Potrzebuje jedynie podwykonawców.

Trump napisał swoją historię świata i demokratycznego Zachodu. Przekonał swych wyborców, że Ameryka ponownie stanie się wielka, jeśli pozbędzie się wszystkiego, co ją osłabiało. W tej wizji zachodni sojusznicy USA są jak ekonomiczne wampiry wysysające krew z amerykańskiej potęgi.

Propagowany przez Chiny wolny handel niszczy miejsca pracy w Ameryce, a latynoamerykańska imigracja to źródło przestępczości i złodziejstwa.

Na szczęście dobry Bóg ocalił Donalda Trumpa od kul zamachowca. Dał znak z nieba, aby ten demokratycznie wybrany pomazaniec boży dalej czynił boskie dzieło.

I skoro sam Bóg chce, aby Ameryka znów była wielka, to Trump będzie wolę Boga wykonywał. Będzie przywódcą Ameryki i tylko jej interesy będzie realizował. Tylko one będą dla niego priorytetem. Będzie to dzieło boże wprowadzał wszelkimi środkami.

Będzie kreować interwencjonizm państwowy jak liderzy Chin, jeśli zajdą takie potrzeby. Zastosuje dekrety jak prezydent Rosji, jeśli uzna je za stosowne. Nie cofnie się przed użyciem wojska jak liderzy Iranu, jeśli uzna je za konieczne.

Właśnie wydał władzom federalnym rozporządzenie Promoting Beautiful Federal Civic Architecture, które narzuca jeden styl architektoniczny wszystkim federalnym budynkom użyteczności publicznej. To samo robi już w Korei Północnej jej przywódca Kim Dzong Un.

Dziś można rzec, że 20 stycznia 2025 r. skończył się na świecie mit liberalnego, demokratycznego kapitalizmu. Skończył się mit globalnego duopolu. Podziału politycznego świata na lepszy, przodujący demokratyczny Zachód i gorsze, zacofane, niedemokratyczne peryferia. Trumpowski kapitalizm straci liberalną, demokratyczną twarz. Staje się teraz kapitalizmem nacjonalistycznym i populistycznym. Nieestetycznym i nieeleganckim.

Przed upadkiem ukochanego w Polsce mitu demokratycznego Zachodu przestrzegali już znani europejscy eksperci Iwan Krastew i Stephen Holmes w książce „Światło, które zgasło. Jak Zachód zawiódł swoich wyznawców". W Polsce to jeszcze nie wybrzmiało, bo tu medialny komentariat każdą podobną krytykę wycisza i klasyfikuje jako ruską dywersję. Kolejną ruską onucę. Ale kiedy amerykański prezydent zachowuje się jak milion ruskich onuc, to polskie elity medialne i polityczne pokornie wzrok i słuch tracą.

PIOTR GADZINOWSKI

PLURALIS MAIESTATIS

Luz, luz, Bejbe

A ja tam lubię Elona Muska

Choć może „lubię" to akurat złe stwierdzenie. Nieodpowiednie słowo. Jak można lubić kogoś, kogo się nie zna? Nie rozmawiało się z nim. Nawet nie obwąchało. To już znacznie łatwiej przychodzi kochanie bliźniego swego jak siebie samego!

Musk walnął klasyczną amerykańską mówkę motywacyjną na styczniowym zjeździe wyborczym AfD i poszły konie po betonie… Premier Tusk ogłosił, że *słowa, które usłyszeliśmy od głównych polityków AfD o „wielkich Niemczech" i „konieczności zapomnienia o niemieckiej winie za zbrodnie nazistowskie", brzmiały aż nazbyt znajomo i złowieszczo*. Tusk odniósł się do tego, co liderka AfD i kandydatka na kanclerza Niemiec Alice Weidel wygłosiła po wspomnianym onlinowym przemówieniu Elona Muska. Premier Polski „odniósł się" na platformie X, dawnym Twitterze, który w wyniku fuzji z 2023 r. należy do rzeczonego Elona M.

Chwila, moment, a dlaczego to Niemcy nie miałyby być wielkie? Jakiś zakaz jest? Gdzie? Z Niemcami problem robi się zawsze wtedy, kiedy są sfrustrowane. Gdyby nie nadmierne kontrybucje po I wojnie światowej, aż tylu ludzi tak ochoczo nie wpadłoby w ramiona Hitlera.

Skądinąd Austriaka. Jeśli spojrzymy na mapę Europy, to Niemcy samym położeniem i wielkością rysują się jako lider. I módlmy się, żeby liderem były. Za Niemcy w recesji ostro bekniemy wszyscy.

Jeśli Amerykanie chcą się do Niemiec jeszcze bardziej zbliżyć – to ich sprawa. Szczególnie że naturalnym sprzymierzeńcem Niemiec jest Rosja. Chociaż ja nie widzę przeszkód, aby cała trójka się dogadała. Lepiej robić interesy niż walczyć.

Tymczasem Sławomir Nitras, minister sportu, skomentował występ Muska na wiecu AfD słowami: *Żaden normalny Polak już nie powinien kupować Tesli. Trzeba odpowiadać na to poważnie i twardo, łącznie z czymś takim jak bojkot konsumencki…* O rany! Faktycznie bardzo to poważne! Jak doskonale świadczy o polskiej normalności… Przypominam sobie przedwojenne nawoływania, że Polak kupuje u Polaka. I nawoływania z lat 90. XX wieku, że Polak na Polaka głosuje.

Czy gdyby Musk przemawiał na wiecu SPD – byłoby inaczej? Pytam, bo rzecz jasna pojawił się problem Auschwitz – w końcu polityczny wiec prawicowego AfD był ledwie dwa dni przed 80. rocznicą wyzwolenia obozu śmierci przez Rosjan. Uprzejmie informuję, że procesy norymberskie były wielką ściemą. Dawni naziści ochoczo zmieniali barwy polityczne i budowali RFN. A o Zagładzie zrobiło się tak naprawdę głośno po procesie frankfurckim prowadzonym od 20 grudnia 1963 do 10 sierpnia 1965 r. Oskarżycielem oświęcimskich katów był prokurator generalny Hesji Fritz Bauer. Nie byłoby jednak tego procesu, gdyby nie jerozolimski proces Eichmanna. Świat chciał o Zagładzie zapomnieć.

Jakoś alianci nie kwapili się do zburzenia torów prowadzących do obozów śmierci. A skradzione żydowskie pieniądze, które zalewały generalnie antysemicką Europę, były bardzo pożądane. Próby wydobycia Żydów blokowano – przejechał się nawet na tym Ben Gurion. Do końca życia był tym, kto mógł uratować więcej Żydów, niż uratował. Mógł? Nie mógł. Co jednak nie zmienia faktu, że przez lata Żydzi byli z Holokaustem sami…

Jeszcze kilka tygodni temu większość Polaków była skłonna naciskać na Tuska, aby ten wycofał zaproszenie dla premiera Izraela na obchody 80-lecia wyzwolenia Auschwitz. Zamknąć Benjamina Netanjahu, jeśli przyjedzie modlić się za pomordowanych. Dyskusje trwały, mimo że wiadomo było, iż Bibi nie ma zamiaru przyjeżdżać do Polski. Ma inne rzeczy na głowie – dotyczące żywych, a nie martwych. Przy całym szacunku dla tych drugich.

***D**zieci nie powinny ponosić winy za grzechy swoich pradziadków i bardzo ważne jest, aby ludzie w Niemczech byli dumni z bycia Niemcami* – powiedział Musk na wiecu AfD. I o to ten cały ryk? Naprawdę? Za zdroworozsądkowe myślenie ojca siedmiorga dzieci? Kiedyś złe były dzieci żydowskie, teraz złe są dzieci niemieckie? Serio? To może ja przypomnę o dzieciach polskich żydowskiego pochodzenia zabitych przez polskich wieśniaków w pogromach.

Musk powiedział, że Niemcy za bardzo koncentrują się na przeszłych winach. Za to Polacy koncentrują się zdecydowanie za mało. A życzliwość tu jest taka, że czasem zastanawiam się, co by było, gdyby w Polsce znajdował się arsenał bomb atomowych. Jedna bomba bum na Kreml, druga na Berlin, trzecia na… Jerozolimę czy Tel Awiw? Amerykańskiego Kapitolu raczej nie ruszymy, ale może pierdolniemy i na Kijów. Lepsze to przecież od bojkotu konsumenckiego. A ja tak myślę: kochaj bliźniego swego jak siebie samego, nawet Muska.

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 950b77d5d4

Kobieta i inne sprzęty domowe

Meta robi dobrze Trumpowi

Zakończenie rzezi europejskiej epoki religijnej wojny trzydziestoletniej w XVII w. wymagało przyjęcia jakiejś nadrzędnej reguły, aby chrześcijanie przestali się mordować między sobą w imię wiary. Przyjęto genialną w swej surowej prostocie zasadę: *cuius regio, eius religio* (czyja władza, tego religia), uznając, że to rządzący będą określać, w co mają wierzyć poddani.

Chyba Mark Zuckerberg, szef korporacji Meta – mającej w portfolio potężne media społecznościowe: Facebook (2 mld użytkowników) i Instagram (1,4 mld użytkowników) – jest wielbicielem idei pokoju westfalskiego, bo uznał, że miłościwie wstępujący na tron Donald Trump powinien decydować o tym, w co wierzą Amerykanie (i poniekąd ludzie na całym świecie). Tuż przed inauguracją jego prezydentury Meta zmieniła wytyczne dotyczące tego, co można publikować na Fejsie i Insta, rezygnując z – kulejącego skądinąd – sprawdzania wiarygodności publikowanych treści (*fact checking*).

Dzięki nowym regułom rasiści, seksiści, homo- i transfobi będą czuli się doskonale, publikując swe wynurzenia w mediach społecznościowych. A przypomnijmy, że swego czasu Zuckerberg wykopał na jakiś czas przegranego w 2020 r. Trumpa ze swych social mediów. Dziś to życzenia amerykańskiego Donka wyznaczają standardy tego, co uchodzi, a co jest niedopuszczalne.

Stawiam bitcoiny przeciwko orzechom, że w imię wolności wypowiedzi – wolność to super wehikuł, który jednak może prowadzić nas w bardzo różnych kierunkach, niekiedy nieciekawych – narastać będą ksenofobia, wrogość wobec kobiet i nienawiść wobec wszystkich, którym nie za bardzo podobają się obecne amerykańskie władze.

Postaram się wyjaśnić, na czym polegają zmiany, dlaczego są istotne, a także spojrzeć pod powierzchnię – na podskórne sprężyny wydarzeń, które skądinąd są proste jak budowa cepa. Bo jeśli nie wiadomo, o co chodzi, często chodzi o pieniądze. Ogromne pieniądze. Wbrew bowiem obiegowej opinii, że kto ma media, ten ma władzę, prawdą jest odwrotne stwierdzenie – kto ma władzę, ten ma media.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Fejs w służbie Trumpa i terroryzmu

Meta ogłosiła właśnie fundamentalne zmiany w sposobie moderowania treści – w tym rezygnację z profesjonalnej weryfikacji treści – które zostaną wdrożone w najbliższych miesiącach. Nie jest to przypadek – twarde dane jasno pokazywały, że to konserwatyści i alternatywna, populistyczna prawica kłamały na Fejsie i Insta znacznie częściej od liberałów.

Po cichu, niejako ze wstydem, Meta natychmiastowo zaktualizowała swoją politykę dotyczącą nienawistnych zachowań, dopuszczając wiele treści, które wcześniej były zakazane. Tu trzeba nieco sięgnąć do historii, by zrozumieć teraźniejszość, umieszczając ją w konkretnym kontekście.

Kiedy okazało się, że w 2016 r. firma Cambridge Analytica użyła – bez ich wiedzy i zgody – danych użytkowników Fejsa, aby pomóc Trumpowi wygrać wybory prezydenckie, demokraci przeczołgali Zuckerberga w senacie. W 2018 r., w trakcie ponad pięciogodzinnego przesłuchania, kluczył i wił się jak piskorz, przepraszając, że dane 87 mln użytkowników Facebooka wykorzystano, by wpływać na ich preferencje polityczne. Przyznał: *błędem było wierzyć Cambridge Analytica*. I dodał: *media społecznościowe powinny brać odpowiedzialność za publikowane treści*. Podkreślał, że za 5–10 lat sztuczna inteligencja będzie blokować i usuwać nieodpowiednie treści z Fejsa, ale na razie zajmuje się tym sztab 20 tys. ludzi.

Potem wybuchł skandal związany z masakrą dokonaną przez białego rasistę (niech jego nazwisko będzie zapomniane), który w nowozelandzkim mieście Christchurch wpadł do dwóch meczetów, wymordował 51 muzułmanów i zranił dziesiątki innych. Transmisja na żywo masakry w pierwszej świątyni trafiła na Fejsa, gdzie cieszyła się ogromnym powodzeniem, zwielokrotniając efekt propagandowy działań terrorysty. Wiele osób pokochało zapis mordu – w ciągu 24 godzin powstało 1,5 mln kopii wideo z masakry, które usuwano jedna po drugiej.

Szybko wyszło na jaw, że w imię zysków Facebook pozwala na wszelkiego rodzaju transmisje na żywo, łącznie z udokumentowanymi transmisjami zabijania ludzi w czasie rzeczywistym. Ludzie lubią coś oglądać w livestreamie, a korporacja stara się przyoszczędzić na moderatorach – skądinąd często mających głodowe stawki za oglądanie traumatyzujących treści – i korzysta ze sztucznej inteligencji, co jest znacznie tańsze.

Christchurch powinien być kopem w ryja dla wszystkich wierzących w samoregulację gigantów internetowych mających wszak w ręku bezprecedensowe w dziejach narzędzie upowszechniania treści w skali globalnej. W 22-stronicowym raporcie Fejs wyjaśniał, że żaden z użytkowników relacji nie zgłosił do moderacji livestreamu przez 29 minut (sic!), algorytm zaś zrazu nie zakwalifikował transmisji rzezi jako potencjalnie przemocowej. Dopiero po pięciu minutach fejsowe algorytmy zajarzyły, że tu ktoś może łamać warunki użytkowania serwisu. I wtedy ujawnił się drobny problem: niewiele osób globalnie relacjonuje na żywo mordowanie ludzi, więc algorytm nie może „nauczyć się", jak je rozpoznawać.

O ile Meta wprowadziła pewne usprawnienia, które miały uniemożliwić transmisję terroryzmu na żywo, to jednak nie zrobiła szczególnie dużo, aby przeciwdziałać ekstremizmowi. Rasistowski terrorysta z Christchurch przez długie miesiące był bardzo aktywny na Fejsie jako członek australijskich grup białych supremacjonistów, takich jak United Patriots Front, True Blue Crew i Lads Society. Niektóre z nich były banowane, ale odradzały się pod innymi nazwami. Na nich można było pisać o tym, jak cenne jest „Mein Kampf", a także szerzyć teorię „wielkiego zastąpienia" – w wersji z antypodów mówiącą o zastępowaniu katolików przez muzułmanów w Nowej Zelandii.

Dumny z bycia rasistą

Zgodnie z nowymi wytycznymi – donosi CNN – na Fejsie i Insta użytkownicy mogą odnosić się do kobiet jako sprzętów gospodarstwa domowego lub przedmiotu, który jest czyjąś własnością (co z pewnością ucieszy handlarzy żywym towarem). Meta zezwoli na politycznie i religijnie (pozdrawiamy Ordo Iuris) motywowane *zarzuty choroby psychicznej lub nienormalności w oparciu o płeć lub orientację seksualną*.

Zuckerberg przyznał: *będziemy wyłapywać mniej złych rzeczy, ale także zmniejszymy liczbę postów i kont niewinnych osób, które przypadkowo usuniemy*. Oczywiście zapowiedziano, że firma wciąż będzie egzekwować swoją politykę wymierzoną w zastraszanie i nękanie konkretnych ludzi, a także podżeganie do przemocy. Wcześniej było za mało „wolności" (dla konserwatystów, którzy znowu rządzą w USA), a za dużo „cenzury".

Trump pochwalił Metę (firmę, nie ciężki narkotyk, metamfetaminę) i ogłosił – zgodnie z przyrodzoną sobie skromnością – że zmiana polityki internetowego giganta prawdopodobnie wiąże się z licznymi groźbami, jakie wysuwał wobec kierowanej przez Zuckerberga korporacji. Tym razem jednak – przyznaję z niechęcią, a nawet obrzydzeniem – oszołom z Białego Domu miał rację: silniejsza regulacja mediów społecznościowych, zapowiadana przez kierowanych przez Trumpa republikanów, oznaczałaby wszak mniej kasy w kieszeniach właścicieli akcji Mety.

Zuckerberg – wcześniej banujący posty trumpistów nadających na Fejsie szturm na Kapitol i przekazujący władzom materiały, które posłużyły do wsadzania ludzi do więzień – teraz stwierdził, że weryfikatorzy faktów podkopali zaufanie do serwisu, gdyż *byli stronniczy politycznie*. I dodał rezolutnie, uzasadniając nadchodzącą falę dezinformacji: *To, co zaczęło się jako ruch na rzecz większej inkluzywności, było coraz częściej wykorzystywane do wyciszania opinii i wykluczania ludzi o różnych poglądach; to zaszło za daleko*.

Do zarządu Mety trafił dobry kumpel Trumpa Dana White, dyrektor generalny czołowej federacji MMA – UFC. Meta też rzuciła milionem dolarów na fundusz inauguracyjny drugiej kadencji Donalda.

Joel Kaplan, nowo mianowany dyrektor generalny ds. globalnych Mety, to prominentny republikanin, były zastępca szefa personelu Białego Domu za rządów George'a W. Busha, wieloletni łącznik Zuckerberga z amerykańską prawicą. Kaplan przyznał wprost, że zmiany u jego nowego pracodawcy są związane ze zmianami politycznymi: *nie ma wątpliwości, że w ciągu ostatnich czterech lat nastąpiła zmiana. Widzieliśmy dużą presję społeczną i polityczną, wszystko w kierunku większej moderacji treści, większej cenzury i mamy prawdziwą okazję. Teraz mamy nową administrację i nowego prezydenta, którzy są wielkimi obrońcami wolności słowa, a to robi różnicę*.

Dziennikarze śledczy z serwisu „Intercept" dotarli do materiałów szkoleniowych dotyczących moderacji wypowiedzi na Fejsie i Insta.

Oto zaakceptowane jako dopuszczalne przykłady wypowiedzi: *imigranci to brudne, parszywe gówna; geje to dziwolągi; jestem dumny z bycia rasistą; meksykańscy imigranci to śmiecie.*

Nie można porównywać całych grup ludzi do zwierząt lub patogenów (zakazane jest choćby pisanie: *wszyscy syryjscy uchodźcy to gryzonie*), ale już porównania do brudu lub odchodów przeszły z kategorii mowy nienawiści do zniewagi.

Tak się zastanawiam, czy w ramach nowo zyskanej „wolności" słowa nie napisać w mediach Mety, że Facebook i Instagram to gówno, a Zuckerberg i jego interesy są brudne…

KATARZYNA KOENIG

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

✯ Leszek Miller podzielił się z czytelnikami „Do Rzeczy" interesującą obserwacją: *Piąta kolumna banderowska ma w Polsce wiele do powiedzenia. [Składają się na nią] politycy, ludzie nauki, dziennikarze i inne środowiska. Przecież w ostatnich latach nie wszyscy ukraińscy uciekinierzy przybyli tu jako neutralni politycznie. W relacji do ludności ukraińskiej jako takiej nie można mieć pretensji. Mówię natomiast o elitach, które są jawnie probanderowskie. Na Ukrainie pomniki zbrodniarzy, nazwy ulic i stadionów nie wzięły się znikąd. To jest świadoma polityka władz ukraińskich, żeby fundament państwowości budować na tradycjach OUN-UPA. (…) Gdyby w zamian za pochówki niewinnych ofiar ludobójstwa na Wołyniu Polska zgodziła się na renowację pomników zbirów z UPA, to byłby ogromny błąd. To byłoby spełnienie zasadniczego celu strony ukraińskiej, czyli doprowadzenie do symetrii. A to nie jest żadna symetria, bo w Polsce leżą bandyci z UPA, którzy polegli w walce z bronią w ręku w starciach z polskim wojskiem, a po tamtej stronie kobiety, dzieci, okrutnie pomordowani i bezbronni.*

✯ O fałszywej symetrii w kwestii ludobójstwa na Wołyniu pisze także Bohdan Piętka („Przegląd"): *Stworzenie takiej fałszywej symetrii będzie równoznaczne z przyjęciem kłamliwej tezy (…) sformowanej przez czołowego animatora ukraińskiej polityki historycznej i negacjonistę ludobójstwa wołyńskiego Wołodymyra Wiatrowycza. Zgodnie z jego punktem widzenia podczas II wojny światowej (…) był rzekomo symetryczny konflikt etniczny o charakterze spontanicznym, zawiniony przez obie strony, ale bardziej przez stronę polską, podsycany i sprowokowany przez agenturę sowiecką. (…) Absurdalność tej tezy przebija jej kłamliwość. (…) Czy Ukraina mogłaby mieć inną politykę historyczną – demokratyczną i wyważoną? Mogła, ale polscy politycy nie zrobili nic, by jej w tym pomóc. Sami zresztą stanęli na gruncie radykalnie tendencyjnej polityki historycznej w odniesieniu do dziejów najnowszych swojego państwa. Wybrali drogę uległości wobec Ukrainy niemal we wszystkim oraz szukania kompromisu z jej polityką historyczną, wyrastającą z nacjonalizmu ukraińskiego i zakłamującą jego historię. Niestety, jak zauważył nieżyjący już Wiktor Poliszczuk, kompromis z nacjonalizmem ukraińskim nie jest możliwy, bo nacjonalizm ten jest chorobą nieuleczalną.* Szkoda, że nie zauważają tego nasi politycy.

✯ Odmienne zdanie o ludobójstwie na Wołyniu prezentuje na łamach „Gazety Wyborczej" Wacław Radziwinowicz: *Jestem przekonany, że samo słowo „Wołyń" powinno być wycofane z polskiej debaty politycznej do końca wojny. (…) Tak, są błędy w kwestii tragedii wołyńskiej i po stronie aktualnych władz w Kijowie. Są „rachunki krzywd", może i nie do „przekreślenia". Tylko czas na ich wystawianie jest fatalny. (…) Koparki, spychacze, kopacze są jej potrzebni pilnie nie do rozkopywania starych mogił, a jak najrychlej do rycia okopów na kolejnych liniach obrony przed nacierającymi hordami.* Szkoda, że red. Radziwinowicz nie wspomniał, że owe *pilnie potrzebne koparki* są aktualnie wykorzystywane na Ukrainie do ekshumacji tysięcy żołnierzy Wehrmachtu.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 950b77d5d4

Duch Ziobry rządzi

Czy ktoś jeszcze pamięta, dlaczego odsunęliśmy PiS od władzy?

Dobro dziecka jest najważniejsze. By skutecznie o nie zadbać, przygotowaliśmy projekt przepisów o alimentach natychmiastowych. To prawdziwa rewolucja w dobrym tego słowa znaczeniu – powiedział w 2021 r. Zbigniew Ziobro.

Przygotowane zmiany mają poprawić sytuację dzieci, które nie powinny ponosić konsekwencji tego, że między rodzicami doszło do konfliktu. Procedury trwały latami, a dzieci często cierpiały, bo jeden z rodziców musiał oszczędzać na dziecku, aby toczyć proces sądowy, płacić adwokatom. Chcemy, żeby ta mitręga sądowa przeszła do historii – to wcale nie kontynuacja poprzedniej wypowiedzi, ale dosłowny cytat z marca 2018 r., kiedy to Ziobro zapowiadał tenże sam rewolucyjny projekt dotyczący alimentów natychmiastowych.

I nawet go wtedy przygotował, przeprowadził przez rząd i wniósł do sejmu. Tego samego, co to potrafił przegłosować wszystko migiem i w ciągu 24 godzin poprzez senat i swoje kolejne czytanie przygotować ustawę do podpisania przez prezydenta Dudę.

Już za chwileczkę, już za momencik

Za alimentami natychmiastowymi zawsze byli praktycznie wszyscy posłowie. Nikt nie chciał wyjść na kogoś, kto zrobi biednym dzieciom źle. Nikt też nie zainteresował się tym, że przepis jest zupełnie bezsensowny, bo nikt, kto miał do czynienia z postępowaniami alimentacyjnymi, nie wpadłby na to, że przyznawanie alimentów może trwać miesiącami.

Praktyka sądów polegała na tym, że gdy tylko od którejś ze stron rozwodu wpływał wniosek o tymczasowe (do czasu rozstrzygnięć ostatecznych) alimenty, to w ciągu tygodnia sędzia rodzinny wystawiał takie orzeczenie.

W tym zakresie nic nie zmieniło się przez lata. Dlatego mówienie Ziobry o wielu miesiącach czekania na przyznanie osobie opiekującej się dzieckiem alimentów było kłamstwem.

Ziobro powtórzył je potem na wiosnę 2019 r. Dla niemającego pojęcia o prawie elektoratu był to miód na uszy, ale projekt wciąż nie stawał się ustawą. Co jednak Ziobrze ani nikomu ze Zjednoczonej Prawicy nie przeszkadzało. Towarzystwo wychodziło bowiem z założenia, że tak dobry pomysł można sprzedać pospólstwu jeszcze nie raz.

Drugi pisowski sejm ukonstytuował się w listopadzie 2019 r. Ale projekt alimentów natychmiastowych się w nim nie pojawił. W marcu 2020 r. o los pomysłu spytał Ministerstwo Sprawiedliwości rzecznik praw obywatelskich. Dostał odpowiedź, że *w Departamencie Spraw Rodzinnych i Nieletnich toczą się prace analityczne. Na obecnym etapie tych prac nie zostały podjęte decyzje o ostatecznym kształcie projektowanej regulacji*. Rzecznik nie spytał, po co procedować coś, co jeszcze przed chwilą miało ręce i nogi i nawet numer druku sejmowego ubiegłej kadencji. Wystarczyło go zatem skopiować, nadając nowy numer i datę.

W 2021 r. Ziobrę do odgrzania starego kotleta skłoniło to, że musiał coś wnieść do Nowego Polskiego Ładu. A nie bardzo miał co. Projekt alimentów natychmiastowych Ziobry z 2021 r. niczym zatem nie różnił się od tego sprzed trzech lat. Zweryfikowano jedynie kwoty szybkich alimentów. Zgodnie zresztą z przelicznikiem wymyślonym 38 miesięcy wcześniej. I dlatego jak po uchwaleniu nowych przepisów ktoś zwróciłby się do sądu o przyznanie świadczeń od drugiego rodzica i załączył kilka zeskanowanych dokumentów, to miał dostać na pierwsze dziecko 588 zł, a na kolejne mniej.

Kreatywność statystyczna

Ani Ziobro, ani nikt z jego wiceministrów nie zająknął się wtedy, kto miałby to płacić. Nikt przecież nie zmienił – bo nie mógł – całej ścieżki odwoławczej od takiego postanowienia. I dlatego najszybsze nawet alimenty, jak trafiały na niechcącą ich płacić osobę, to płacone nie były.

Setki internetowych samouczków, jak się wymigać od obowiązku alimentacyjnego, robiły swoje i tylko nieumiejący czytać alimenciarz narażał się za niepłacenie na grzywnę lub odsiadkę.

Oczywiście Ziobro – nawet przy okazji wypowiedzi o alimentach natychmiastowych – napawał się sukcesami w zwalczaniu niepłacących alimenciarzy. Wiedząc, że wciska ludziom kit. Jego opowieści, jak to dzięki wprowadzonym przez jego resort przepisom poprawiła się ściągalność, można było włożyć między bajki.

Ściemą było ziobrowe gadanie, że *regulacje, które weszły w życie w 2017 roku, skończyły z bezkarnością alimenciarzy niepłacących należnych świadczeń. W rezultacie ściągalność alimentów do państwowego Funduszu Alimentacyjnego wzrosła o ponad 230 proc. Jeszcze w 2015 r. wynosiła 13 proc., a w 2020 r. osiągnęła 43,2 proc.*

W opowiadaniu dyrdymałów wtórował Ziobrze jego wiceminister Michał Wójcik. W grudniu 2022 r. ogłosił: *To tutaj, w Ministerstwie Sprawiedliwości, powstał przepis z inicjatywy ministra sprawiedliwości, który doprowadził do tego, że nawet do 280 procent nastąpił wzrost ściągalności alimentów do funduszu alimentacyjnego. Wystarczyło zmienić jeden przepis w kodeksie karnym*. Mądrzy ludzie siedli do statystyk i zobaczyli, że setki procent wzrostu ściągalności wzięło się ze zmiany kryteriów liczenia długu alimentacyjnego. Cały zatem skok był ściemą wynikającą z kreatywnej statystyki. Fachowcy policzyli wszystko na nowo przy zastosowaniu tych samych kryteriów i wyszło im, że gdyby prawidłowo zestawić rok 2015 i 2020, to okazałoby się, że ściągalność wzrosła nie o ponad 230 proc., a o 74 proc.

Rys. OBYWATEL JANEK

Fundusz Alimentacyjny od lat jest atrapą samego siebie. Obsługuje ledwie kilka procent rodziców pozbawionych kasy na dziecko. Skuteczną zaporą dla każdego, kto do Funduszu by się po hajs zgłosił, są zarobki. Bo jak tatuś czy mamusia wychowujący samotnie jedno dziecko mają na łeb w rodzinie więcej niż 1209 zł, to z państwowego funduszu nie dostaną ani złotówki. Wystarczy zatem, że samotny rodzic zarabia minimum krajowe, by na forsę od państwa się nie łapał.

A przecież jedynie wtedy, gdy niepłacący alimentów rodzic staje się dłużnikiem państwa, możliwe jest dochodzenie od niego zaległej forsy. A i to tylko wtedy, gdy siedząc w więzieniu, nie ma dostępu do internetowej edukacji, a jego zarobione w więziennym zakładzie pieniądze zabiera placówka penitencjarna.

Jeśli ktoś nie płaci byłej czy byłemu zarabiającemu więcej niż minimum, to można mu naskoczyć. Komornicy doskonale o tym wiedzą i już na wstępie bezradnie rozkładają ręce przed każdym rodzicem usiłującym wyegzekwować zaległe alimenty.

Żaden z przepisów, których wprowadzeniem chwalił się Ziobro, nic w tej materii nie zmienił.

Nawet ten, według którego pracodawca chroniący alimenciarza mógł popłynąć na kilkuset tysiącach złotych grzywy. Inspekcja pracy miała gdzieś egzekwowanie nieegzekwowalnego prawa.

Od lat spada więc liczba skazanych za uchylanie się od obowiązku alimentacyjnego. Jednocześnie wzrasta zadłużenie alimentacyjne. W Krajowym Rejestrze Długów zadłużenie alimentacyjne wynosi już 16 mld zł, a liczba dłużników przekracza 294,7 tys. Średnie zadłużenie jednego dłużnika alimentacyjnego wynosi 54 tys. zł.

Tak przeciw, że nawet za

Ziobry przy władzy nie ma już od dawna. Ale jego metoda polegająca na cyklicznym obiecywaniu ustawy o natychmiastowych alimentach ma się doskonale. Resort Bodnara od początku opowiadał, że lada chwila ustawa trafi do sejmu. Wiosną zeszłego roku twierdzono, że wprowadzane rozwiązanie pozwoli odpowiedzieć na postulaty środowiska rodziców i sędziów rodzinnych, którzy od lat zgłaszali problemy związane z rozbieżnościami w zasądzanych przez sądy rodzinne alimentach. Podawano, że podobne rozwiązania funkcjonują we Francji, Austrii, Czechach czy Niemczech, gdzie sądy rodzinne korzystają z takich tabel i znajomość kryteriów zasądzania alimentów jest powszechna.

W maju dodano, że trwają zaawansowane prace doprecyzowujące sposób, jak szybko rodzic będzie mógł uzyskać alimenty w wysokości uzależnionej od minimalnego wynagrodzenia. Założenie jest wszak takie, żeby później można było ubiegać się o wyższe świadczenia.

Mijały miesiące, festiwal obietnic trwał, a projektu nikt nie widział. Ba, Komisja Kodyfikacyjna Prawa Rodzinnego zaopiniowała nawet projekt alimentów natychmiastowych. Trwały też ponoć prace nad rozporządzeniem, które miałoby określać tabele alimentacyjne. Ten element od lat był postulowany przez sędziów rodzinnych.

W interpelacji poselskiej skierowanej w lipcu 2024 r. do ministra sprawiedliwości jeden z posłów zapytał, czy w ocenie resortu wysokość świadczeń alimentacyjnych powinna zostać powiązana procentowo z minimalnym wynagrodzeniem oraz czy wysokość świadczeń alimentacyjnych powinna być automatycznie waloryzowana.

Odpowiedź ministerstwa rozwalała. Resort wyjaśnił, że *obowiązek alimentacyjny jest świadczeniem osobistym rodziców dziecka, a zasady ustalania jego wysokości zostały precyzyjnie określone w polskim prawie. Przepis ten pozwala sądowi na pewną elastyczność, która sprzyja uwzględnieniu wielu czynników mających wpływ na zakres obowiązku alimentacyjnego, leżących czy to po stronie uprawnionego, czy zobowiązanego*. W ocenie ministra sprawiedliwości *nie jest więc celowe wprowadzanie regulacji obligujących do ustalania świadczenia alimentacyjnego w formie procentu od minimalnego wynagrodzenia*. Z drugiej jednak strony minister sprawiedliwości rozważa wprowadzenie alternatywnego dla obecnego systemu sposób określania świadczenia alimentacyjnego. System ten roboczo nazwany jest w Ministerstwie Sprawiedliwości (uwaga!) *alimenty natychmiastowe*. Ma sprzyjać szybkiemu uzyskaniu orzeczenia sądu.

Na tym jednak schizofrenia resortu Bodnara się nie kończy, bo według MS *wysokość alimentów natychmiastowych miałaby być uzależniona od minimalnego wynagrodzenia oraz od liczby dzieci pochodzących od tych samych rodziców*. Kwota alimentów natychmiastowych – których przecież ponoć nie potrzeba – ustalana byłaby na podstawie stawki procentowej w zależności od liczby uprawnionych dzieci oraz minimalnego wynagrodzenia.

Nawet najbardziej ogarnięci prawnicy, gdy to czytali, wytrzeszczali oczy, zastanawiając się, czy na sprawę alimentów Ziobro nie rzucił jakiejś klątwy. Bo ile trzeba mieć w sobie złej woli, żeby z nader prostego przepisu pozwalającego sędziom szybko wyliczyć alimenty, zrobić potworka prawnego, z którym rady nie dałby sobie nawet TSUE?

TADEUSZ JASIŃSKI

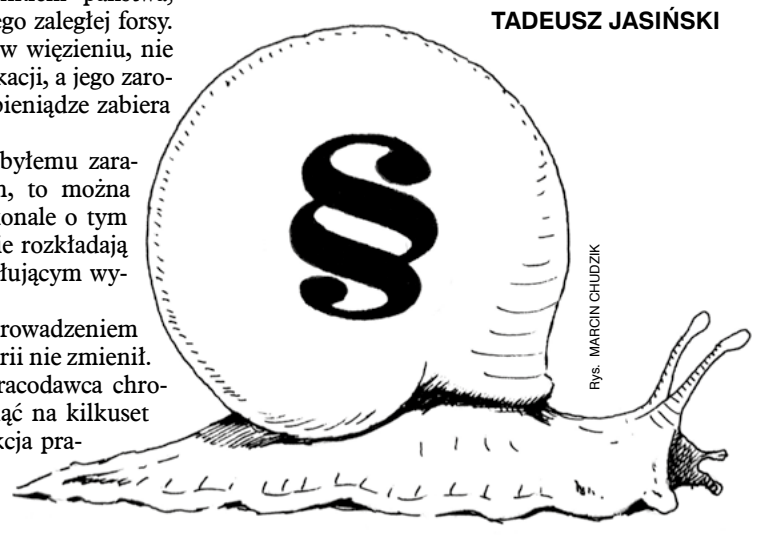
Rys. MARCIN CHUDZIK

REKLAMA

eprasa.pl 950b77d5d4

Polscy piłkarze ręczni dali ciała. I to jak!

Trofeum dla ostatniego

Puchar Prezydenta – brzmi pięknie. W piłce ręcznej to jednak obciach. Nie chodzi o prezydenta Andrzeja Dudę, Donalda Trumpa albo głowę jakiegoś innego kraju. W mistrzostwach świata gra się o Puchar Prezydenta Światowej Federacji Piłki Ręcznej (IHF). Zaszczytu rywalizacji o to trofeum dostępują drużyny, które w swoich grupach eliminacyjnych zajmują ostatnie miejsca. Walczy się więc o 25. lokatę w świecie. Przed nami znalazły się reprezentacje Kataru, Argentyny czy Tunezji, które nawet przy najlepszych chęciach trudno uznać za potęgi. A nam przypadły w grupie walczącej o Puchar Prezydenta zespoły Algierii, Kuwejtu i Gwinei. Taki jest obecnie poziom polskiej piłki ręcznej. Polacy wygrali z tymi siódemkami – tego by jeszcze brakowało, żeby i na nich się potknęli.

Będzie dogrywka

Polacy razili nieskutecznością, brakiem zgrania, pasywnością. Trener Marcin Lijewski (sam kiedyś dobry zawodnik) nie szczędził przykrych słów swoim podopiecznym, ale też wdał się w polemikę z dziennikarką TVP Sport, której zarzucił, że chyba nie oglądała meczu, skoro ma tyle zastrzeżeń do drużyny.

Myślicie, że to koniec pyskówek? Podpora reprezentacji, środkowy czołowej drużyny świata Paris Saint-Germain Kamil Syprzak, miał samowolnie opuścić kadrę, jeszcze przed zakończeniem gier o Puchar Prezydenta. Związek ogłosił, że nałożona na niego została kara porządkowa. Syprzak przyznał, że – owszem – opuścił kadrę, ale za zgodą trenera Lijewskiego i na prośbę swojego klubu Paris Saint-Germain, który chciał jak najszybciej poddać swojego środkowego rehabilitacji z powodu doznanej podczas turnieju kontuzji. Związek zagroził dalszymi konsekwencjami, a zawodnik, po wygłoszeniu słów o podawaniu do publicznej wiadomości niepełnych i krzywdzących informacji narażających na szwank jego dobre imię i wizerunek sportowca, również zapowiedział, że sprawy tak nie zostawi. Szykuje się zatem jeszcze dogrywka po fatalnych mistrzostwach.

Trudno uwierzyć, że piszę o dyscyplinie, w której zdobywaliśmy medal olimpijski, medale mistrzostw świata i Europy. Nawiasem mówiąc, mistrzostwa świata i Europy niewiele się różnią poziomem, bo gra ta popularna jest niemal wyłącznie na naszym kontynencie. IHF stara się ją spopularyzować na świecie, ale ze średnim efektem.

Doskonale pamiętam brązowy medal olimpijski polskich piłkarzy ręcznych w 1976 r. w Montrealu. Było to pewne zaskoczenie, bo mało kto w niego wierzył. No, ale mieliśmy w składzie wielką gwiazdę – Jerzego Klempela zwanego Kukusiem. Zmarły dość dawno temu Jurek (byliśmy na ty) miał niesamowity wyskok, potrafił jak gdyby zawisnąć w powietrzu i dopiero gdy obrońcy opadli na parkiet, z niesamowitą siłą strzelał na bramkę. Założył się kiedyś z działaczami Śląska Wrocław, którzy chcieli ukarać go za niesportowy tryb życia (zdarzało się to Kukusiowi), że w następnym meczu sam wygra, i to zrobił. To znaczy – strzelił więcej bramek niż wszyscy koledzy z drużyny.

Teraz mamy dwie bardzo mocne klubowe drużyny, naprawdę na europejskim poziomie: Wisłę Płock i Industrię Kielce (znaną bardziej pod wcześniejszą nazwą Vive lub historyczną Iskra). Rywalizacja tych zespołów ma w sobie coś z wielkich meczów derbowych w piłce nożnej: trybuny są pełne, a między kibicami dochodzi czasem do incydentów. Krótko mówiąc, są to mecze podwyższonego ryzyka. A niech tam, ważne, że poziom gry jest naprawdę wysoki.

Jeśli ktoś spyta, dlaczego gra klubów z Płocka i z Kielc nie przekłada się na poziom reprezentacji, prędko wyjaśniam, że o ich sile w dużym stopniu decydują zagraniczni zawodnicy. Bramkarz reprezentacji Niemiec Andreas Wolf, który napsuł nam wiele krwi podczas mistrzostw świata, przez wiele lat grał w Kielcach. Kirgiz z hiszpańskim obywatelstwem Tałant Dujszebajew trenuje kielczan, a w barwach drużyny występują jego utytułowani synowie Alex i Daniel.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wiadomo, że na wielki sport potrzebne są wielkie pieniądze. Właścicielem płockiego klubu jest Orlen i o finanse może być raczej spokojny, bo benzyna na stacjach znowu podrożała. W Vive (będę się trzymać tej nazwy) dochodziło do właścicielskich zmian, zawirowań finansowych, ale poziom starają się trzymać.

Coś się nie klei

Na piłkę ręczną do niedawna mówiło się szczypiorniak. Teraz też tak się mówi, ale coraz rzadziej. Nazwa pokazuje, że mamy w tej grze długie tradycje. Określenie wzięło się od nazwy wsi Szczypiorno, w której w 1917 r. w obozie jenieckim internowano żołnierzy Legionów Polskich. Z regułami (występowały 11-osobowe zespoły, grano na boisku do piłki nożnej) zapoznali Polaków niemieccy strażnicy. Dziś nie ma już 11-osobowych drużyn, nie gra się na trawie, co więcej nie ma wsi Szczypiorno, bo stała się dzielnicą Kalisza. Nawiasem mówiąc, podobnie jest w języku czeskim. Gdy my graliśmy w szczypiorniaka, Czesi grali w hazenę (rodzima nazwa podobnej gry), teraz oni też używają międzynarodowej nazwy, choć czeski związek to nadal Český Svaz Házené.

W okresie międzywojennym szczypiorniak był w Polsce jedną z najpopularniejszych dyscyplin obok piłki nożnej i lekkoatletyki. Co ciekawe, nie miał jednak osobnej federacji sportowej, był sekcją Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. Polski Związek Piłki Ręcznej (PZPR) powstał dopiero w 1936 r. Po wojnie zbieżność nazwy z wiodącą siłą narodu była nie do przyjęcia, dlatego PZPR przemianowano na Związek Piłki Ręcznej w Polsce i tak zostało do dziś.

Od niedawna ZPRP ma nowego prezesa. Został nim Sławomir Szmal, wybitny bramkarz z czasów sukcesów polskiej siódemki. Przed mistrzostwami świata był pełen optymizmu.

Po mistrzostwach Szmal mówił to, co powiedziałby każdy prezes, którego zawodnicy dostali po dupie. Że trzeba prędko otrząsnąć się po porażce i z nowymi siłami wziąć do pracy. Opowiadał, że nasi trenerzy wysyłani są na zagraniczne staże, że w klubach stworzone zostaną grupy młodzieżowe i takie tam inne komunały.

Wszystko to brzmi pięknie, ale jak zrobić, żeby na lekcjach wychowania fizycznego zaczęto grać w szczypiorniaka, a nie tylko w koszykówkę i siatkówkę – tego już prezes nie powiedział.

Wiem, że w wielu szkołach zabraniają szczypiorniaka. Jest to gra dość brutalna – nazwijmy ją może delikatniej fizyczną. Przepychanki czy faule są normalnym elementem taktyki. Grona pedagogiczne boją się, żeby wszelkie kontuzje nie poszły na ich konto i nie zostały uznane za brak starannej opieki nad powierzoną ich pieczy młodzieżą. Aż trudno uwierzyć, że szczypiorniak i hazena reklamowane były przed wojną jako gry szczególnie wskazane dla dziewcząt jako przeciwwaga męskiego futbolu.

Pojawił się także nowy problem: zawodniczki i zawodnicy nakładają na palce warstwę kleju. Piłka wówczas lepiej „siedzi" w dłoni. Dawniej problemu z tym nie było. Klej pojawiał się dopiero na wyższym, zawodniczym poziomie. Uczniowie podpatrzyli w telewizji i w internecie, że palce powinny być posmarowane, siłą rzeczy ubrudzona jest także piłka, czasem tak bardzo, że trzeba ją wymieniać podczas meczu, bo niemal przykleja się do podłogi.

Teraz – jak mi mówiono – klej zawitał także do szkół. Nie można się dziwić, że piłka ręczna stała się śmiertelnym wrogiem sprzątaczek, które muszą szorować nie tylko podłogi, także ściany. Klej, dodajmy, opornie poddaje się szczotce i płynom do czyszczenia. Doszło do tego, że IHF ogłosiła konkurs na wymyślenie bezbarwnego kleju, z czego wniosek, że nie tylko polskie sprzątaczki hamują rozwój dyscypliny.

Problemów przed prezesem Szmalem stoi mnóstwo, nawet nie wiem, czy zdawał sobie sprawę z ich liczby i trudności, gdy szykował się do wyborów na prezesa ZPRP. Jego rywalem był Bogdan Wenta. Kiedyś pracowali razem. Wenta był trenerem, Szmal – zawodnikiem. W 2007 r. wywalczyli srebrny medal mistrzostw świata, a półfinałowy mecz z Danią, wygrany po dwóch dogrywkach wspominany jest do dziś. Zwłaszcza gol zdobyty przez bramkarza Szmala i słynne słowa Wenty: *Mamy jeszcze 15 sekund, to mnóstwo czasu...*

Ktoś musi przegrać

Grałem kiedyś w rękę, a jakże. W czasach mojej młodości była jedną z najpopularniejszych gier uprawianych przez uczniów. Szkoła, do której uczęszczałem, była objęta patronatem sekcji piłki ręcznej klubu Spójnia Warszawa, wybierano stamtąd najzdolniejszych uczniów, zaplątałem się i ja do Spójni. Teraz oficjalnie należę do seniorów, mam zniżkę na niektóre świadczenia, wówczas byłem juniorem. O ile pamiętam, w tamtych sportowych czasach byli tylko juniorzy i seniorzy. Nie było, jak dzisiaj, podziału na jakichś juniorów młodszych i starszych, U-18, U-21 itp.

W stolicy zawsze dostawaliśmy po tyłku od Warszawianki, ale za to laliśmy innych. Po zdaniu na studia, co wiązało się z przejściem do seniorów, musiałem zmienić klub na AZS. Leszcza nie wpuszczali jeszcze na parkiet, mecze oglądałem z ławeczki gimnastycznej ustawionej przy boisku. W szatni starsi koledzy rozmawiali tylko o tym, gdzie można za granicą coś kupić, żeby sprzedać z zyskiem w Polsce. Krótko mówiąc, to nie był mój świat. Wykorzystałem niegroźną kontuzję, złamanie palca ręki, żeby ładnie podziękować za bycie sportowcem.

Bardzo chciałem być za to dziennikarzem sportowym. Po odbyciu wolontariatu (nie używano jeszcze tego słowa) i obowiązkowego półrocznego stażu w dziale informacji „Przeglądu Sportowego" zebrało się w mojej sprawie kolegium redakcyjne. Najpierw uznano, że rokuję na przyszłość. Później przydzielono mi mentora i dyscyplinę sportu, którą będę się zajmować. Liczyłem, że będzie nią piłka ręczna, bo troszkę liznąłem tego sportu, ale Ola Korolkiewicz (w życiu nie odważyłbym się wówczas powiedzieć „Ola" na panią Aleksandrę) zazdrosna była o handball niczym kotka o swoje małe. Trafiłem – jak się okazało – znakomicie, pod opiekę fantastycznego dziennikarza i jeszcze bardziej fantastycznego człowieka, nieco zapomnianego Lecha Cergowskiego. Lech Cergowski – oficer w powstaniu warszawskim, a za stalinizmu więzień Wronek – był świetnym nauczycielem. Ani ciężka rana z powstania, ani śledztwo i wiele lat spędzonych za kratami nie zgasiły jego poczucia humoru. Żartował w redakcji i w pisanych przez siebie tekstach. Ponieważ specjalizował się w kolarstwie, siłą rzeczy i ja musiałem zająć się tym sportem. O piłce ręcznej mogłem na dobre zapomnieć.

Doświadczenia z kolarstwem nie miałem wielkiego, ograniczało się do rowerowych wycieczek ciężką czeską Eską nad Zalew Zegrzyński. Ale i to nie trwało długo, bo pewnego razu, gdy poszedłem do wody, ktoś ukradł mi rower i musiałem korzystać z autobusu. Rodzice uznali, że nowego roweru mi nie kupią, szkoda na niego pieniędzy, bo pewnie znów go ukradną. Pod dobrą opieką Lecha Cergowskiego coraz więcej dowiadywałem się o kolarstwie, a coraz rzadziej wspominałem juniorskie czasy w Spójni.

Ktoś zapyta, po co o tym piszę, wyjaśniam więc, że patrząc na liczbę błędów popełnianych przez reprezentantów Polski podczas mistrzostw świata, przypomniało mi się, jak graliśmy w młodzieżowej drużynie Spójni. Też popełnialiśmy mnóstwo błędów. Ale – do licha – nie byliśmy reprezentantami kraju.

Przegrać w sporcie to żaden wstyd. Musi ktoś przegrać, żeby wygrać mógł ktoś inny. Niektóre porażki ze względu na styl, w jakim się wydarzyły, trudno jednak zaakceptować.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 29.01.2025 r.

eprasa.pl 950b77d5d4

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Minister sportu Sławomir Nitras do dzisiejszego południa myślał, że najgorszym człowiekiem na Ziemi jest prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosław Piesiewicz, który miesięcznie zarabia tyle, ile wynoszą stypendia sportowe dziesięciu szermierzy lub piętnastu zawodników uprawiających żeglarstwo lodowe, czyli bojery. Piesiewicz nie dał obiecanych nagród medalistom olimpijskim, a sam – żeby sięgnąć do cytatu z „Misia" – forsą sra. Co to za kanalia – myślał do niedawna Nitras. Co za kreatura!

Dziś przed południem, gdy minister zastanawiał się nad tym, co zjadłby na lancz, wpadła mu do głowy myśl o tym, że Piesiewicz jest już passé. Znudził się, sflaczał w oleju, stał się demodé. Jeżeli nadal będę wieszał na nim psy – pomyślał Nitras – to sam będę drętwym Dyziem. A przecież nie ma nikogo bardziej skompromitowanego niż drętwy Dyzio. Z nim konkurować może jedynie prezydent Duda.

Tuż przed dwunastą minister Nitras wyszedł z gmachu ministerstwa.

Może kebab, Piesiewicz w roli Czarnego Piotrusia już się zużył, albo chińszczyzna? – rozważał półgłosem.

Na ulicy stały w korku samochody: Peugeoty, Renówki, Mercedesy, Audi, Fiaty i Trabanty. Nie, Trabanty nie… I jedna Tesla.

Ciekawe, co się stanie, gdy takiej zakorkowanej Tesli wyczerpie się bateria? – zapytał Nitras siebie w myślach.

Wybiło południe.

Tesla, Tesla, Tesla… Eureka! Niech żyje potęga umysłu! Tesla to Elon Musk, a Musk to ten sukinsyn, który popiera Farage'a w Anglii i Alternative für Deutschland w Niemczech. Ten nadęty dupek, który hajlował po zaprzysiężeniu Trumpa. Łajza, kutafon, wypierdek, gamoń. Wróg demokracji. Przeciwnik Polski. Szuja!

Samochód jest dla prawdziwego mężczyzny przedłużeniem penisa – przypomniał sobie minister. Kto to powiedział? Winston Churchill, Friedrich Nietzsche, Seneka? Nie, Seneka nie, w jego czasach nie było samochodów…

Tesla jest przedłużeniem penisa eunucha – wymyślił Nitras. Kastrata, który wyciąga łapę w salucie rzymskim. Pięć piw, patafianie ze SpaceX!

Po lanczu (chaczapuri i badridżani) minister sportu zadzwonił do zaprzyjaźnionego dziennikarza i umówił się z nim na jutro na wywiad.

Żaden normalny Polak już nie powinien kupować Tesli. Trzeba ogłosić powszechny bojkot konsumencki – tak powie jutro w radiu.

I tak powiedział.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN zbiera podpisy. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** cieszy się jak dziecko, bo bardzo dawno nie brała udziału w kampanii wyborczej.

Wołk-Łaniewska: – Brakowało mi tego…
Senyszyn: – Mówisz i masz.

– Ulotkę ci napiszę, chcesz?
– Pewnie, że chcę. A co w niej napiszesz?

– Tak ogólnie, że jesteś zajebista. A w szczegółach to jeszcze nie przemyślałam…
– No to do roboty!

– A skoro już się tak zgadało o wyborach prezydenckich: w razie, gdybyś jakimś nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności nie wygrała…
– Co wykluczamy…

– Absolutnie. Ale w razie gdyby, to wieść niesie, że jednak padnie na Nawrockiego.
– Do mnie doniosło te same wieści. To chyba jest moment, żeby wymienili Trzaskowskiego.

– Tylko na kogo? W Platformie to chyba najlepszy kandydat.
– Toteż właśnie na kogoś, kto nie jest w Platformie. Moim zdaniem powinni sobie znaleźć jakiego profesora. Takiego, co miałby z 50 lat, żonę, dzieci, psa…

– *The whole enchilada.*
– A co do tego ma meksykańska kuchnia?

– Nic, to taki idiotyczny idom, który bardzo lubię: znaczy full wypas, z wszystkimi dodatkami.
– Wołku, chciałam ci zwrócić uwagę, że definiowanie żony w kategoriach dodatku jest patriarchalne i antyfeministyczne.

– A dzieci można?
– Dzieci proszę bardzo.

– W każdym razie nikogo takiego w otoczeniu PO nie widzę. Bliższym ani dalszym. Choć z ogólną zasadą się zgadzam: że wyborcy tęsknią za prezydentem, który wykazywałby się niezależnością. Nawiasem mówiąc, ostatnim takim był chyba Kwaśniewski, który – co by o nim nie mówić – miał swoje zaplecze polityczne głęboko w dupie.
– Tak, do tego stopnia, że nawet nie podziękował SLD w wystąpieniu po reelekcji w 2000 r.

– Za to pamiętał o wujku Bronku. Ale myślę sobie, że coś w tym może być: Kwaśniewski był ostatnim – a w zasadzie jedynym – prezydentem, który został wybrany w wyborach powszechnych z pozycji szefa partii, co oznacza, że nie miał szefa nad sobą. W 2005 r. Lech Kaczyński *meldował wykonanie zadania,* a potem już poszło. Komorowski był funkcjonariuszem Tuska, a o Dudzie już nawet wspominać nie będę. PiS, moim zdaniem, nieźle wyczuł klimat z tym kandydatem obywatelskim.

Rys. TOMASZ WIATER

– Nie tyle wyczuł, co zbadał. I Platforma też powinna.

– No właśnie. Ja mam wrażenie, że oni nie mają żadnych własnych pogłębionych badań ani specjalistów od ich analizowania.
– Tylko czytają sondaże w „Wyborczej" i mówią to, co z nich wynika. 88 proc. jest za odebraniem niepracującym Ukraińcom 800+? To Rafał obieca odebrać i jeszcze powie, że to zdrowy rozsądek.

– Jak słyszę od polityka o zdrowym rozsądku, to wiem, że odwołuje się do najniższych instynktów wyborców, których ma za prymitywów. Co jest skądinąd postawą obowiązującą wśród elit Platformy Obywatelskiej.
– To bodajże David Axelrod powiedział: *Ludzie mogą zagłosować na kogoś, kogo nie lubią – głosowali na Nixona, a nikt nie lubił Nixona – ale nie zagłosują na kogoś, kto ich nie lubi.*

– Dokładnie. Mój ulubiony spin doktor Obamy. Wybity specjalista, nawiasem mówiąc – mimo całego rozczarowania, jakie odczuwam wobec Obamy, nadal jest to mój ulubiony prezydent USA. A Platforma wyraźnie uznała, ze specjalistów nie potrzebuje i potem kandydat na głowę państwa pierdoli o szarym mydle…
– Słucham?

– Rafał udał się do Ostrzeszowa i ogłosił – czekaj, zapisałam sobie: *Wzmacnianie naszych firm, wzmacnianie naszego rolnictwa przyczynia się do tego, że jesteśmy dużo bardziej bezpieczni i gotowi na wszelkiego rodzaju sytuacje, choćby szare mydło.*
– A coś więcej?

– OK, cytuję dalej: *Przecież to właśnie szare mydło jest potrzebne do tego, żeby w trudnych sytuacjach radzić sobie i w trudnych sytuacjach żeby lekarze mogli się nim posługiwać. Mało kto o tym wie, ale warto o tym wspomnieć, bo to się też po prostu przysłuży naszemu bezpieczeństwu.*
– Słusznie. Głosujmy na szare mydło!

– Za to Nawrocki pojechał do Bogdanki i ogłosił, że wcale nie da po mordzie Dudkowi, bo w ogóle nie daje nikomu po mordzie poza ringiem, chyba że *staje w obronie kobiety albo w obronie człowieka krzywdzonego.*
– Jakoś mnie nie dziwi, że prawica jeszcze nie opanowała tej prostej lekcji, że kobieta jest człowiekiem.

– Zmieniając temat, bo muszę: pamiętasz, jak cztery lata temu Marian Turski wygłosił w Auschwitz słynny monolog „Nie bądźcie obojętni" i wszyscy się zachłysnęli z zachwytu, bo uznali, że przypierdolił w PiS. Pomyślałam sobie wtedy, że może go nie doceniają: facet ma prawie 100 lat, przeżył Oświęcim, maszerował z Martinem Lutherem Kingiem z Selmy do Montgomery, pracował w prawdziwej „Polityce", a nie tylko w tym kolorowym magazynie – może to naprawdę jest jakieś przesłanie natury etycznej. Może on wie, co mówi.
– I co, już tak nie myślisz?

– W poniedziałek, w 80. rocznicę wyzwolenia Auschwitz, tenże sam Turski zaczął zdanie: *Nie bójmy się wykazać odwagi dzisiaj, gdy…* Zamarłam w napięciu: powie coś o ludobójstwie w Gazie. Bo to by wymagało odwagi. A red. Turski zakończył: *…gdy Hamas czyni próby zaprzeczenia masakry 7 października.* Serio? 47 tys. ludzi zamordował rząd Izraela w celowej czystce etnicznej, a ten apostoł nieobojętności wzywa do odwagi *przeciwstawiania się teoriom spiskowym?* I ja rozumiem, że bycie więźniem Oświęcimia zostawia trwały ślad – ale byli inni, którzy nie wygłaszali moralitetów o obojętności i empatii, lecz potrafili dostrzec, co dzieje się w Gazie. Jak Hajo Meyer, zmarły dekadę temu holenderski fizyk, który także przeżył Auschwitz i właśnie dlatego napisał książkę „Koniec judaizmu", w której bardzo precyzyjnie udowadniał, jak traktowanie Palestyńczyków w Izraelu jest podobne do traktowania Żydów w III Rzeszy. I jeszcze napisał: *jedynym powodem, dla którego można spodziewać się odrodzenia niebezpiecznego antysemityzmu, jest coraz bardziej naganna polityka Izraela.*
– I co?

– Jak to co? Oskarżyli go antysemityzm.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 950b77d5d4